



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60, kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

Ekspedycya główna w księgarni wydawcy  
Krakowskie-Przedm. Nr. 411 (nwy 7).

W Cesarstwie Austriackiem: we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartal. flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgeberta i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr: 20.

### POGAWĘDKA.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności pora postu jest u nas zarazem i porą prelekyi. Zbieg to szczęśliwy, mianowicie dla kronikarza który bez niego byłby w kłopotcie od czego zacząć swoją Pogawędkę. W sezonie zaś postno-prelekyjnym oczemże na pierwszym miejscu wspomnieć jeśli nie o prelekyjach, będących tylko jedną z form postu—przynajmniej dla wielkiej masy tego, co żyje w kształtach ludzkości?

W adwencie i nawet już w roku bieżącym mieliśmy kilka prelekyj rzemieślniczych, bardzo uczęszczanych i pożytecznych. Jakiś tam promyk trafi zawsze do tych ciemnic duchowych, w jakich się praca i życie ludu roboczego dokonywa. Rozebanie teatru Rappo, na którego miejsce stanąć ma inna arena już nie drewniana ale murowana—pozbauiło prelegentów jedyne miejsce dogodnego na takie odczyty publiczne, które z istoty rzeczy sprowadzać musiały znaczniejszą liczbę słuchaczy i przy cenie ile możności niskiej nie mogły wybierać sal kosztownych, ze złoconymi kapitelami i malującymi plecy ludzkie na białe kolumnami — jakimi naprzykład do ostatnich czasów były kolumny w sali resursy obywatelskiej.

Przed jesienią pewno się miejsce nowe dla prelekyi rzemieślniczych nie wynajdzie, a dobrze może jeszcze będzie, jeśli już na tę porę usta i mury stanąć będą mogły w gotowości na usługi klasy, którą najczęściej po za bawaryą i szynkiem zgromadzaćby należało.

Szereg nauk wielkopostnych pozakościelnych wypełniają dotychczas w Warszawie odczyty na korzyść Towarzystwa osad rolnych i przytułków rzemieślniczych. Towarzystwo cały post wzięło sobie w dzierżawę i dobrze zrobiło gromadząc wszystkie siły jakie były pod ręką—a tak ich niewiele w Warszawie—około znacznej i tyle dla przyszłości obiecują-

cej swej działalności. Z wyjątkiem pana Dzieciotłowskiego, wszyscy inni prelegenci, od początku postu dając się słyszeć Warszawie, nieśli tylko pomoc bezinteresowną instytucyi, której na teraz wolno być bardzo chciwą i materialistyczną i o nic innego nie wołać, tylko o pieniądze. Gdy pieniądze będą, znajdą się wtedy i idealizmy. Znajdzie się najidealniejsza z prac ludzkich, praca około człowieka—znajdą się rozprawy i cele moralne. Teraz pieniądź przede wszystkim. Braknie go jeszcze bardzo wiele—dzięki obojętności ogółu, który składając po tylu latach zaledwie czwartą część funduszków potrzebnych (dwadzieścia kilka tysięcy rubli), na przedsiębiorstwo przynosić mające wieloletnie procenta w moralności i dobrobycie, okazuje tylko niezajomość własnego interesu. Stawiamy kwestyę w sposób kupiecki, pamiętni na słowa historyzofa, że „do potulnego kupca przyszłość świata należy“.

Prelekye na osady rolne rozpoczęły się w pierwszą niedzielę postu. Odtąd machina prelekyjna, raz w bieg puszczona, co środa i co niedziela wyrzuca z siebie jedną godzinę nauki dla publiczności warszawskiej i paręset rubli dla instytucyi na jak największe poparcie zasługującej. Pierwszą prelekyę miał p. Wacław Szymanowski. Nie był to wykład ciągły, rozumowany, pozytywnie w granicach przedmiotu zawarty. Nie wydała go refleksya i nie przeznaczyła dla refleksyjnych jedynie czynników duszy. P. Szymanowski wystąpił jako poeta, z odczytem trzech swoich utworów: przemówił do imaginacyi i uczucia. Jego natchnienie poetyczne stało na zrebie kwestyi społecznych, ale świadome powołania swego nie zaplatało się w rozbiór tych kwestyi, jak to czyni nowa szkoła poetów pozytywnych, stawiająca w wierszach swoich kwestyę tak jak się je stawia w artykułach, monografiach i sprawozdaniach z dziedziny socjologii.—Odczyt p. Szymanowskiego nosił nazwę obrazów z rzeczywistości: w każdym z nich przejawiało się jedno ogniwo rodziny. Ojciec—Matka i Dziecię — co za olbrzymia kwestya społeczna, ale zarazem i co za ogromny temat dla poety! P. S. ujął go w ramy trzech niewielkich poematów, z których jeden miał formę dyalogu, drugi monolo-

gu, trzeci opowiadania samego twórcy. Za najpiękniejszy uważamy poemat drugi zatytułowany: „Jedna z wielu“. Nie wahamy się utworu tego nazwać małym arcydziełem; tyle znaleźliśmy w nim silnego, szczerzego, wyobraźnie poruszającego uczucia, taką piękną formę, taką prawdę życia — przy wielkiej prostocie stylu poetycznego. Utwór ostatni „Dziecię“ odskakiwał od dwóch innych i satyrycznym nastrojem swoim i mniejszą szlachetnością formy. Pierwszy obraz był już niegdyś drukowany w zmarłym przed rokiem „Wieńcu“. „Jedną z wielu“ z dobrze pomyslaną i narysowaną ilustracją Tegazza zamieścił „Tygodnik Ilustrowany“.

Prelekyi prof. Paptońskiego „o sposobach kształcenia głuchoniemych“, prelekyi bardzo ciekawej i nauczającej „Bluszc“ poświęci osobne sprawozdanie.

Odczyt p. Faleńskiego „o Fraszkach Jana Kochanowskiego na tle wieku“ zajął trzy prelekye. Autor doskonałej monografii o trenach Kochanowskiego, obznajmiony dokładnie z całą literaturą poetyczną polską, rozebrał fraszki w związku ze stanem społecznym i obyczajowym XVI w., z ogólną działalnością poetycką Kochanowskiego, z jego całym rozwojem duchowym i wartościami, jako utworów poezyi najbliższej z życiem graniczącej, odniósł do poziomu tego wszystkiego, co przed Janem Czarnoleskim i po nim w epoce złotego wieku dokonano. Powaga dziejopisarska przejmowała na wskroś cały odczyt; drgało w nim uczucie szacunku, z jakim zbliżamy się do świętości — bo prawdziwie świętym był ten talent Kochanowskiego, mimo upojeń swoich tak często zmysłowych, rubasznych, rażących dobry smak ludzi dzisiejszych. P. Faleński wymownie scharakteryzował współczesnych Kochanowskiemu. Mieli oni serca na wyrost, umysły na własną potrzebę, prawdę jak powietrzem oddychali, umieli kochać lepiej od nas, posiadali sztukę życia i umierania ze spokojem jaki daje wiara—a gdy upadali to tylko u stóp krzyża. My ludzie dzisiejszych pokoleń do pasa im nie dorastamy. — Albo gdy mówił prelegent o tem jako się dziś zmieniło znaczenie wyrazów „dowcip“ i „zabawa“—prawdziwie piękną była myśl, że się i po-

jęcia i wyrazy niegdys złotą monetę stanowiące, rozmięły dziś na zaśniedziałe trojaki. — Pod wielu względami powiedziećby to można o ogólnym postępie świata. Pokrewną myśl znajdujemy w Słowackim, że się świat nie w górę ale w szerz rozrasta. — Cały ruch cywilizacyjny i demokratyczny naszego wieku, rozlewanie się światła, dobrobytu i praw społecznych na wielkie masy ludzkości, ująć można w powyższą formułę. W postępie świata wzrasta ilość, a nie jakość. Buckle też na postępującej ilości wiedzy, postęp cały zasadza.

\* \* \*

Korzystając z postu, jako z pory, w której wolno nie bawić czytelników — ale nie wolno ich nudzić, podchwyć jakie różane usteczka — korzystając z tej pory osmielię się wspomnieć o nowych wydawnictwach. Spieszno mi jeszcze przed wiosną; bo wiem że z wiosny nastaniem ani do czytania książek, ani nawet do wspomniania sobie o nich żadna z czytelniczek naklonić się da. Z wydawnictw nowych głównie mam na myśli: Doprowadzony już do szóstego tomu, przedruk dzieł Kaz. Brodzińskiego pod sterem niezmordowanego Kraszewskiego w zakresie swoim rozszerzony z 6 tomów do 8. Następnie wydawnictwo „Biblioteki najcenniejszych utworów literatury Europejskiej“, której co miesiąc tom jeden wychodzi. W dwóch tomach dotąd wyszłych mamy zaczętych kilka utworów literatury polskiej: „Jana z Tęczyna“ Niemcewicza, „Powieści“ i „Mindows“ „Słowackiego“ oraz „Dziewięć Orleańska“ Libelta. O ile wiemy, wybór na kilka lat już naprzód dokonany dobrze wroży o wartości Biblioteki, założonej na bardzo szeroka skalę. Jeżeliby istotnie do Biblioteki wejść miały wszystkie utwory cenniejsze literatury powszechnej, to lat dwadzieścia nie wystarczyłoby na dokonanie dzieła przedsięwziętego przez redakcję „Kłosów“. Trzecim wydawnictwem na uwagę zasługującym są przekłady poetyczne Ant. Edwarda Odyńca, zupełnie już w dawniejszym wydaniu z handlu wyczerpane. Dobrze zasłużyła się ogłosiła redakcja „Tygodnika ilustrowanego“ przedsięwzięcie wydania powieści Zygmunta Kaczkowskiego. Dzisiejsze młode pokolenie wcale nie zna tych obrazów przeszłości, tak żywo malowanych, w znacznej części pomyslnych tak poważnie i zacie. Znać wprawdzie w wykonaniu ich polot gorączkowy, poniekąd prawa artysty lekceważący — ale przez wysoki stopień ciepła i głębokość zarysów, obrazy Kaczkowskiego przykuwają do siebie imaginację, dokazują z czytelnikiem tego do czego sztuka dąży: przenoszą go do własnych swoich zaczarowanych pałaców. Tacy „Bracia ślubni“, taki „Grób Nieczui“ lub „Sodalis Marianus“ pozostaną długie czasy jeszcze pierwszorzędniemi utworami literatury powieściowej. Nietylko historyczna ale i psychologiczna powieść znalazła w Kaczkowskim godnego reprezentanta. Któż nie zna jego „Bajronisty“ i „Rozbitka“, typów społecznych, które w epoce powstania tych powieści z życia wejść tylko potrzebowały w szlachetniejsze formy sztuki, aby zyskać był pełny, rozumny, a prawdziwy, bo nie z abstrakcji chorobliwych wysnuty. — Krytyka nie umiała ocenić Kaczkowskiego w czasach, kiedy warunki dla niego były pomyslniejsze w opinii publicznej. Dziś te dzieła z człowiekiem zrosnięte potrzebowałyby może w oczach opinii usprawiedliwić rację nowego swego zjawienia się. Prawdą pozostało u nas to co niegdys powiedział Kraszewski, a co nas od zbiorowości zachodnich odróżnia, że między człowiekiem a piórem jego zaprowadzać lubimy jak najściślejszy związek i możemy sobie bez pochlebstwa powiedzieć, iż nigdzie tak silnie jak u nas nie zwraca się uwagi na kapłaństwo pióra.

„Księga wynalazków“ jest również ważnem, na wzmiankę zasługującym wydawnictwem. — Pierwszy tom pojawił się w styczniu r. b. Tom II-gi wychodzi zeszytami.

Przygotowania niezbędne, nieuniknione przygotowania, powstrzymują zewnętrzne objawy działalności spółki wydawniczej księgarzy warszawskich. Wspomniane jeszcze w r. z. dzieła, jakie spółka ma zamiar wydać, nie wyszły jeszcze na świat, znajdują się jednak już w druku i za kilka miesięcy otrzymamy pierwsze ich tomy na duchową strawę. Przypominamy, że są tam utwory takie jak „Historia XVIII wieku“ Schlossera, „Człowiek i Cywilizacja“ Bagehot, dzieła używające wielkiej wziętości w Europie. — Z przykrością zaznaczyć wypada w tem

miejsu mały rozkup wychodzącej we Lwowie „Historii powszechnej Schlossera“. Nawet cel materyalny przedsiębiorstwa, zasilenie funduszy oświaty, o potrzebie której każdy i maluczkim i wielkim tak szeroko rozprawiać umie — nawet cel taki nie umiał zjednać ogółu dla wydawnictwa, które i niezależnie od celu, samo w sobie, prawdziwie wysoką wartość posiada i chyba u nas tylko, zepsutych łatwo przetrwać się dającymi, ale też i mało pożywnymi artykułami dziennikarskimi, podobną obojętność mogło napotkać, na jaką się księgarze tutejsi i prowincjonalni uskarżają.

Towarzystwo zachęty sztuk pięknych krząta się około projektu przed dwoma laty już powziętego wydawania pisma wyłącznie poświęconego sztuce. Ponieważ fundusze Tow. nie pozwalają mu na utrzymanie pisma własnymi siłami, ma być zawartym układ wydawniczy z jedną z tutejszych ilustracji. Jeżeli wydawnictwo przyjdzie do skutku, redakcyę nowego pisma obejmie najprędzej p. Wojciech Gerson, należący do nielicznego u nas zastępu artystów z teorią i historią sztuki obznajmionych.

Rozpisałem się już może zanadto o wydawnictwach literackich. Materję tę uzupełnię krótką wzmianką o zapowiedzianym przez autora „Badań filozoficznych“ p. Niemirycza nowem dziele w przedmiocie wielkiej powagi i głębokości naukowej wymagającym. P. Niemirycz w dziele przedstawi „historję idei prawa“. — Znaczną część zatem ogólnego rozwoju ludzkości w świetle filozoficznym dzieło zapowiedziane przejawić będzie musiało. Czy zadaniu podoła? zobaczymy.

Czcigodny Kraszewski przystąpić ma niezadługo do wydania dzieła, nad którym od lat wielu już pracuje: „Dzieje cywilizacji w Polsce“.

W ogóle na polu piśmienniczym widać krzątanie się dość żywotne i pożyteczne.

\* \* \*

„Co ma żyć w pieśni, zamrzeć musi w życiu“ powiedział Goethe. Słowa te stosują się nietylko do wypadków zewnętrznych, ale i do faktów życia duchowego, a częstokroć i do całych osobistości. Co ma żyć w duchu ogólnym, musi wprzód nieraz zamrzeć w duchu jednostkowym — bo nie zawsze i nie wszystkim jednostka, dopóki żywa, z ogółem podzielić się może. Cała sfera uczuć jest jej wyłączną nieprzystępną własnością. Poeta uchyli nieraz zasłonę serca, ale jeśli nie chce utracić szacunku, powinien czynić to więcej jako artysta tworzący piękno, niż jako człowiek spowiadający się z prawdy. Postąpienie tego samego Goethego z córką prezesa w Wetzlar opisane romansu Lotty w „Cierpieniach młodego Werthera“ obiektywnemu poecie niemieckiemu nie zjednało uznania. Miłości człowieka za życia zamknięte są w warowni jego indywidualności, pod strażą honoru. Śmierć dopiero wypuszcza je na wolność — śmierć burzy warownię i straż rozbraja. Za życia uczucie było rzeczą młą, pospolitą, bez żywiołów piękna duchowego, bez podniosłości: drzemka gdzieś w mglistych dolinach życia. Człowiek życie swoje wielkie czy małe urabia zawsze na modłę pewnej powszedniości. Spółczesni za blisko niego stoją, aby mogli dobrze zmierzyć odległość stóp od czoła. Dopiero potomni to co się niegdys na nizinach niepostrzeżone tułało, oglądają na śnieżnych, niebotycznych szczytach. Zaprawdę, raz jeszcze — pięknu człowieczemu śmierci potrzeba. Śmierć daje to mistrzostwo o jakim śpiewa Ely w wierszu znanym czytelnikom „Bluszczu“ (Zmarłej dziewicy).

Dopiero, gdy człowiek zejdzie ze sceny, wszystko co na niej odegrał — i wszystko co za sceną wypracował i przecierpiał, nabiera wartości dla ogółu. Najmniejszy szczegół bywa wtedy zbierany skrzętnie, podejmowany z miłością, w całość życia wstawiany z pewnem artystycznym namaszczeniem. Utraciwszy indywidualność w rzeczywistości, wytwarzamy ją sobie w ideale: dajemy jej mieszkanie w czerepach mózgów własnych, w obszernych przybytkach sere, dajemy jej byt trwały z wyobrażeń i uczuć — byt, co się nieśmiertelnością nazywa, a jest życiem zagrobionem człowieka w ludzkości. Niema już wtedy rzeczy osobistych, niedostępnych dla ogółu: wszystko i dzieła i osobistość do wszystkich należy, wszyscy interesują się sprawami, które za życia nasycaly tylko plotkarstwo. Nietylko to co wygłosił wyśpiewał i nauczył, ale i to co ukochał dla siebie jedynie taki człowiek umarły a żywy — staje się przedmiotem

ciekawości publicznej, badań i sądów i niema rzeczy obojętnej w osobistości, której czyny, myśli i pięknotwory za życia obojętni nie były. Z czasem z nagromadzonego materiału tworzy się historia osobistości, a w niej istoty poetyczne składają zawsze filozofię swych dzieł. Dopóki dzieła uznania nie tracą, dopóty człowiek sam nabiera coraz większej wartości historycznej. Przez czyny i przygody, tłómaczymy sobie dzieła. Jeżeli ta praca odgrzebywania osobistości z pod popiołów czasu poprowadzoną zostanie z wytrwałością i zamiłowaniem, jeżeli jej posłuży szczęście, ten arcy mistrz życia ludzkiego — nieprawdą okazać się musi, to co mówi poeta angielski, że po człowieku ten tylko ślad zostaje, iż człowiek był. — Nie — życie samo odtworzyć można w jego kształtach, w jego światłocieniu, w jego skwarnej rzeczywistości.

Mało jest wdzięczniejszych, bardziej zaciekawiających; silniej zasługujących na zajmowanie się nią pośmiertne osobistości nad Juliusza Słowackiego. Ta późniejsza uczuciowa natura nie oddzielała życia od sztuki. Życie Juliusza oddziaływało silnie na jego dzieła. Miłości i poemata w życiu stawały się miłościami i poematami w sztuce. Obiektywność obca była naszemu poecie; źle to nawet wpływało na artystyzm jego utworów, zwłaszcza dramatycznych. O dwóch jego miłościach, Maryi W\* i Eglantynie, z czasów pobytu w Genewie, bardzo zajmujące szczegóły podaje kronika „Biblioteki Warszawskiej“ za miesiąc luty. Nie dadzą się one streścić, a zasługują na odczytanie w całej osnowie. Pióro wielce sympatyczne dla zmarłej wielkości — gorąco opowiada stosunki serdeczne, z których złożył się poemat w „Szwajcaryi“, ta pieśń miłosna, tak piękna, że za ledwie Sonety Petrarcki zmierzyć się z nią mogą. — Eglantyna, dziś pani de Lupé, ma już lat 70, utraciła wzrok, ale nie utraciła pamięci o Juliuszu i kronikarzowi „Biblioteki“ wiele szczegółów z życia kochanego niegdys człowieka opowiedziała. Mieszka ciągle w Genewie.

\* \* \*

Dla Anglii i Francji rok bieżący zaznaczył się dotkliwymi stratami. W początkach stycznia odebrano w Londynie wiadomość o skonie Livingstona, głosnego na świat cały, a więc i czytelniczkom „Bluszczu“ znanego podróżnika, którego odkrycia w Afryce wzbogaciły niezmiernie wiedzę geograficzną. Skon jego nastąpił w głębi Afryki d. 15 sierpnia r. z. Ciało zostało już przywiezione do Zanzibaru, z kąd je wyprawić miano do panteonu Anglików, Westminsteru.

We Francji najboleśniejszą jest strata Micheleta, zmarłego w d. 9 lutego w Hyères. Pisał już o niej korespondent paryzki „Bluszczu“. Jak gdyby sobie przypominał równiny Irana, przez które niegdys wędrował szczep aryjski do Europy, Michelet kochał słońce namiętnie do bałwochwalstwa. Trzeba czytać w jego „Bible de l'humanité“ opis obrzędu pogrzebowego w Persyi. Taki obrzęd w testamentie swoim przepisał myśliciel dla własnych zwłok cielesnych. Żona — która za życia niemało przyczyniła się do zбочenia jego ducha na drożyny małości — wykonała sumiennie ostatnią wolę zmarłego. Po śmierci jeszcze chciał mieć Michelet kąpiel z promieni słonecznych.

Warszawa utraciła d. 24 lutego człowieka wielkiej zasługi dla sztuki, Edwarda hr. Rastawieckiego. Autor „Słownika malarzów polskich“, skrzętny współwydawca „Wzorów a raczej pomników sztuki średniowiecznej“, na dwa lata przed śmiercią, wszystkie zbiory swoje oddał do Muzeum publicznego. Na wydawnictwa swoje poświęcił część majątku; część znaczną zabrali kapitaliści za rentę dożywotnią, którą niedługo płacić potrzebowali. Edward Rastawiecki należy do szczupłego grona tych osobistości arystokratycznych, które poczuwają się do obowiązków względem powszechności i uzdolniły się o tyle, że przy dobrej woli mogą reprezentować coś więcej niż kieszenie. Kto zna ubóstwo materyałów do historii sztuki naszej odnoszących się, kto wie jak pusto było i głucho na tem polu przed Raczyńskim, Rastawieckim i Przeździeckim, ten pojmie zasługi s. p. Edwarda.

\* \* \*

Z grona wydawniczego ubył w lutym r. b. wy-

dawca „Tygodnika Ilustrowanego,“ pierwszej co do czasu ilustracji warszawskiej, poważnego, właściwie artystycznego pokroju. Drzeworyty zamieszczone jeszcze przed zjawieniem się „Tygodnika“ w „Wolnych żartach,“ nie mogą być uważane za otwierające u nas erę wydawnictw ilustrowanych. Z istoty pisma humorystycznego wynikała podrzędność jego części artystycznej. Pierwszy dopiero s. p. Unger zaprowadził u nas ilustracje. Z nastaniem „Kłosów“ współzawodnictwo obu pism znakomicie przyczyniło się do podniesienia u nas sztuki rytowania na drzewie. Mamy dziś już drzeworyty dorównujące najlepszym europejskim. S. p. Unger własną pracą, z prostego zecera dorobił się majątku i rozgłosu: cały zawód jego daje żywy przykład samopomocy.

\* \* \*

Sredniowieczną bajkę—nie bajkę podają pisma angielskie. Jakiś bogaty lord czy mister umierając zostawił córkę i majątek; córka była piękną, jak zawsze w bajce, a majątek ogromny, jak nakazują zwyczaje angielskie. Wolą zmarłego było, aby córka nikomu innemu ręki swej nie oddawała, tylko cieśli. A tu nieszczęście sprowadziło na drogi posażnej panny—księcia. Wiemy jak Zingharo z włóczędzy, Matys z kowala prostego stali się artystami przez miłość. Nasz książę stanie się cieślą, bo tylko za cieślę córka, wolę ojca szanując, wyjść postanowiła. Dziś już hymen uwieńczył stałość charakteru i szczerość uczucia. W XIX wieku to coś podobnego do obrazu w latarni czarnoksiężkiej.

\* \* \*

A teraz przedmiot bardziej realny: maszyny do szycia. Dla kobiety biednej są one dziś kwestją chleba. Otóż można mieć chleb za tańsze niż dotąd pieniądze. Nie oskarżamy nikogo. Ale ze sposobu w jaki dawniejsze firmy handlujące w Warszawie maszynami, odpowiadały na wyzwanie nowego swego współpracownika p. Louis Schlesinger, wnosimy, że dzięki współzawodnictwu będziemy mieli maszyny tańsze a może i lepsze od dotychczasowych. O lepszości trudno jeszcze rozstrzygać, gdyż konkurs zapowiedziany na 1 marca nie przyszedł do skutku, nie z winy pan Louis Schlesingera. „Bluszc“ w dziale właściwym przedstawi kwestję sporną w stanie, jaki ona ostatecznie przybierze.

\* \* \*

W numerze 9 „Bluszc“ przed tygodniem Redakcja ogłosiła zapowiedziany konkurs na dzieło o wychowaniu macierzyńskim—ze wskazaniem szczegółowych warunków współzawodnictwa się i określeniem niezbędnej treści dzieła. Upraszamy wszystkie czasopisma o powtórzenie warunków tego konkursu.

## SONET.

Smutni synowie przebrzmiałej już chwili  
Patrzą z boleścią, jak znów żywił świeży  
Przeciwko bóstwom, które oni czcili,  
Zwraca się zbrojnie i kruszyć je bieży.

Napróżno serce tych dawnych rycerzy  
Oprzeć się smutkom i zwątpieniu sili:  
Bo widzą tylko to, co w gruzach leży,  
I czują tylko to, co utracili.

Trudno im dojrzeć wśród zgiełku i szalu,  
Że ta grożąca ich świętościom burza,  
Oczyszcza z pleśni ołtarzów podnóża,  
Że z każdym ciosem co spada—pomału,  
Twarz bóstwa jaśniej z cienia się wynurza  
I doskonałą kształty ideału.

El-y.

# ZARNICA

POWIEŚĆ BULGARSKA SPOŁCZESNA

PRZEZ

Teod. Tom. Jeża.

(Dalszy ciąg).

Podał papier komisarzowi nadzwyczajnemu, który go w ciekawości a z uwagą oczami przebiegł.

— E?—zapytał Sefer pasza.

— Skarga na jakiegoś doktora.

— Tu nie skarga rzecz stanowi, ale ta okoliczność że do doktora owego naród się garnie. Zkąd to pochodzi?... Ztąd że on go nie obdziera. Czemu nie obdziera?... O...

Pomilczał przez chwilę i dalej ciągnął:

— Z pomiędzy Bulgarów nie jeden na lekarza się wykirował i leczy, ale bacząc nadewszystko na to, ażeby pariczki w liczbie jak największej gromadzić... Do takiego naród się nie garnie, chyba w ostateczności i gdyby takim był ów lekarz zarnicki, to nie miałby babo Mussa powodu do żalu. Coś tam przeto jest, tem bardziej, że doniesienie wspomina o jakichś pieczęciach angielskich, które mogą być niedorzecznością o jakimś Angliku, który może być jednym z takich szarlatanów, jakich nam tysiącami Europa nasyła, i o jakichś książkach, które mogą być bardzo niebezpieczne. Dodać jeszcze potrzeba i to, że doktor ów nie starał się o posadę żadną, nie szukał protekcji ani poleceń.

W ciągu mówienia powyższego, głowa Zia paszy wahała się ustawicznie od prawej strony na lewą i na odwrot a usta jego wydawały co chwila cmokanie, wzrok zaś wyrażał coś naksztalt oburzenia.

— Może więc to być człowiek niebezpieczny.

— Może—potwierdził komisarz.

— A może jest to tylko dziwak.

— Może....

— Co zrobić, ażeby się o tem dowiedzieć?

— Ty wiesz....

— Hm—mruknął Sefer pasza. Można by dać rozkaz zarnickiemu mudirowi, ażeby rozciągnął dozór czujny.

Zia pasza głową potakując kiwał. Sefer pasza ciągnął dalej:

— Ale to niebezpiecznie. Zlecenia podobne dotyczące spraw bulgarskich w ogóle, ledwo nie co miesiąc kajmakanom i mudirom rozsyłam, celem utrzymania czujności ich w nateżeniu: gdybym przeto dał rozkaz specjalny, mógłbym obudzić w mudirowi zarnickim zbytek gorliwości urzędowej, rzecz niezmiernie szkodliwą.

— Wielka prawda—mruknął Zia pasza

— No? Cóż więc począć?...

Zia pasza zamyślił się, jakby rady w głowie szukał. Myślał przez chwilę i odparł:

— *Sen bilir* (ty wiesz), *effendim*.

Sefer pasza głową wstrząsnął i nosem lekko skrzywił, jakby dla okazania, że nie takiej spodziewał się rady, i mówić począł w pół do siebie, zatrzymując się po frazie nieomal każdym, usta ściskając i wargę dolną oddymając:

Chciałbym doktora tego widzieć i rozmówić się z nim. Wezwać go jednak nie wypada. Wywołałoby się domysły i przypuszczenia. Al...—w czoło się uderzył i fez poprawił—już wiem... Pozory wprowadzają z sytuacji najdelikatniejszych, Trzeba więc wyszukać pozór, a ten nastęrcza się sam przez się. Przecież lekarz, ażeby miał prawo praktykować, powinien posiadać dyplom i takowy zwierzchności przedstawić, powinien mieć upoważnienie komisyi sanitarnej, którą ustanowiłem w Ruszczuku. Otóż i pozór gotowy. He?...

Pytając ostatni zwrócony był do Zia paszy.

Komisarz nadzwyczajny skłonił się na znak uznania.

— To i dobrze.

Po tych słowach Sefer pasza skinieniem pożegnaniem, któremu towarzyszył uśmiech uprzejmy, zawi-

domił Zia paszę, ażeby się miał precz i w dłonie klasnął.

Na klasnięcie wpadł adjutant dyżurny.

— Kolej...

Adjutant i komisarz wydalili się razem.

W chwilę później wszedł jegomość jakiś, w mundurze, z orderami, przy szpadzie, i ze stosowanym kapeluszem w rękę; za nim inny jegomość, również w mundurze z orderami, lecz widocznie w stopniu niższym, bo znacznie od pierwszego młodszy, mniej złotem obsyty i rzadziej udekorowany. Za nimi wsunął się dragoman. Pasza na powitanie ich podniósł się nieco na siedzeniu i skinieniem ręki zaprosił starszego do zajęcia miejsca obok siebie. Młody ulokował się nieco dalej. Dragoman stanął po środku. Pasza klasnął w dłoń trzy razy i zaczął rozmowę od zapytania o zdrowie.

Jegomość w bogatym mundurze odpowiedział podziękowaniem.

— Ekszelleneya wasza—słowo paszy—przyjechała z Konstantynopola ładem?...

— Tak., uhm...

— Droga nużąca...

— Wybrałem ją dla... uhm... dla...

— Zwiedzenia kraju—pochwycił pasza.

— Tak jest... to jest... uhm... Powody, jakie mnie do tego skłoniły, były... uhm... czysto naukowe.

Tu służba, w skutek trzykrotnego klasnięcia, wniosła cybuchy długie i filizaneczki małe, pierwsze z fajkami nałożonemi pysznym tytoniem, drugie z kawą wydającą wonny opar. Gdy goście usta sobie kawę poparzyli i następnie je bogatymi pozatykali burztykami, przez które wchłaniać zaczęli dym aromatyczny, pasza do przerwanej powrócił rozmowy:

— Ekszelleneya wasza zauważyć musiała opuszczony stan kraju.

— Tak—hm...

— I narodu...

— Uhm...

— Ha—westchnął pasza. Dźwigamy się. Wszystko od razu zrobić się nie da. Robimy więc, co można, zwłaszcza dla plemion słowiańskich. Nadajemy im swobody handlowe, przemysłowe, religijne, zakładamy dla nich szkoły.

Przy ostatnich słowach, jegomość w bogatym mundurze popatrzył na paszę wzrokiem, w którym malowało się zdziwienie.

— Nadajemy im swobody handlowe, przemysłowe, religijne—powtórzył pasza dobitnie. Zakładamy dla nich szkoły. Robi się to powoli, nieznacznie, bez ostentacyi, ale się robi; jeżeli jaki rząd nazwałby można ojcowiskim, to rząd jego sultańskiej mości, miłościwie nam obecnie panującego, zasługuje na to miano zaszczytne. Wasza ekszelleneya, gdybyś dłużej nieco gościem naszym być raczył, sambyś się o tem przekonał.

Ekszelleneya ta uczona nie posiadała snadź daru wymowy, albowiem odpowiadała najczęściej monosylabami. Pochodziło to może z ostrożności dyplomatycznej. Nie wiemy;—jak nie wiemy co za jeden był ów jegomość, wzbudzający w paszy atencję taką, który, wypiwszy kawę i wypaliwszy fajkę, wyszedł i zmieniony został przez ową ekszelleneyę, za powodem której mister Wayton wytlukł okno na statku parowym. Ta, ubrana w czarny frak ze znaczkami orderowemi, wkroczyła posuwicie, sapiąc i zasiadając obok paszy z gośćmi, znamionującymi poufałość, opartą na dawnej znajomości.

— Zdrowie ekszelleneyi waszej?...

— Dziękuję... A ekszelleneya wasza?...

— Przybywam z Konstantynopola...

— No i jakże?...

— A cóż! Jedzie się, nie czując, że to Wschód... Ze statku parowego na kolej żelazną, z kolei żelaznej na statek parowy... wygody europejskie, komfort, towarzystwo europejskie... Turcy postępują.

— Tylko co wyszedł ztąd ktoś, będący zdania przeciwnego—wtrącił pasza.

— Al.. uczony kolega w dyplomatycznym fachu!—rzekł dyplomata tonem żartu. Hm... takie mu zdanie mieć potrzeba... a opiera je, zapewne, na owych jakichś niepokojach, jakichś ruchach, które gazety pomiędzy Bulgarami sygnalują.

— Gdzież tego nie ma!—mruknął pasza.

— Tak. Jednakże, pozwolę sobie jedno zapytanie, a raczej, jedną uwagę zrobić: czy nie popuszczacie Bulgarom cugli zanadto?...

— Jakto?...—zapytał pasza.

— Czy nie nadajecie im swobód za wiele?...

— Przeciwnie... zaprowadzamy ścisły dozór i surową kontrolę, których dawniej nie było. Czuwamy ścisliście... urządzamy wewnątrz kwarantannę.

— Przeciwno zarazie, idącej od nas, niestety!... — westchnął dyplomata.

Wniesiono fajki i kawę. Treść rozmowy zmieniła się. Nastąpiło rozstanie, po którym Sefer pasza, załatwiwszy się z kilku jeszcze Europejczykami, począł udzielać posłuchań krajowcom. Tych liczba była nie mała, dlatego ekspedycywał ich prędko, zamieniając z niektórymi po słów zaledwie parę, a niektórym odpowiadając uśmiechem i skinieniem, oznaczającym pożegnanie. Zauważyć należy, że ostro, surowie nie obszedł się z nikim. Wkońcu przywołał kazał *kitabdzego* (sekretarza) i dał mu szczególną instrukcję, wedle której napisać ma zlecenie do mudira zarnickiego.

— Napisz krótko i wyraźnie. Doktor, o którego chodzi, nazywa się Manułaki Stanko. Potrzebuję, żeby stawił się przedemną, dla uregulowania swojej pozycji. Rozumiesz?...

— Effendim—odrzekł *kitabdzi*, czyniąc ręką prawą salam.

— Niech mi to będzie gotowe dziś jeszcze... za godzinę najdalej. Przyniesiesz mi do opieczętowania.

— *Ewet, effendim*... stanie się wedle rozkazu twojego..

## XIII.

## Rozum urzędowy.

Mudir zarnicki otrzymał pisanie Sefera paszy.

Otrzymał je, odczytał i głęboko się zadumał. Było ono wyraźne, a mimo to dla niego nie całkiem zrozumiałe.

Była tam-mowa o dyplomie.

Wiedzieć należy, że Turcy, w pisaniu, samogłoski zastępują kropkami. W wyrazach znanych łatwo odgadnąć, którą z pięciu samogłosek kropka wyobraża. W wyrazach jednak nieznanach staje to się trudnem bardzo, zwłaszcza jeżeli piszący i spółgłoski pozmięniał, jak to się stało z wyrazem „dyplom“, który nie znanym był *kitabdzemu* i w którym ten zamiast d napisał k, zamiast p — t, zamiast m — n. Mędrzy od mudira nie domyśliłby się, o co chodzi. Mudir medytował, w głowę się drapał, oczy mrużył; wezwał do pomocy imama, ten zdecydował, że jeden chyba *alfah* zagadkę tę by rozwiązał; wezwał kadego, ten zakonkludował, że takie nastały czasy, iż człek dalej sam siebie rozumieć nie będzie; wezwał *bimbasze*, który się z Francuzami i Anglikami znał, pozna więc przynajmniej czy to wyraz francuski czy angielski, ten powiedział, że Francuzi mówią *didu*, Anglicy zaś *ajsej* a niekiedy *lsek*, zatem nie jest to wyraz ani francuski, ani angielski.

Mudir w głowę zachodził, tem bardziej że nie sam tylko ów wyraz stanowił szkopuł dla rozumienia jego. Pojąć jeszcze nie mógł, co to znaczy: „uregulowanie pozycji“.

— Uregulowanie pozycji?... — myślał sobie.

Nie było napisano, jak i kiedy ma ono nastąpić. Zlecenie, napisane krótko, nie mówiło o tem, a tem mniej wyjaśniło samą czynność uregulowania, które w głowie mudira, stało się *ewikiem*, bodaj czy nie większym, jak ów wyraz przekłety. Znów więc wzywał ku pomocy imama, kadego i *bimbasze*. Pierwszy ramionami ścisnął, drugi splunął, trzeci się domyślał, czy nie znaczy to odcięcia głowy doktorowi i posłania je paszy w torbie.

— Żeby to było regularnie, to regularnie — powiedział na poparcie domysłu swego. Tak się dawniej robiło i dobrze było.

Mudrowi samemu wydawało się, że domysł *bimbaszy* nie jest racyi wszelkiej pozbawiony, albowiem, jeżeli o uregulowanie, pozycji zwłaszcza, chodzi, to czyż może być dokładniejsze nad to, które staremu żołnierzowi na myśl przyszło. *Bimbasza* jednak sam go z tropu zbijał, dodawał bowiem:

— Tak się robiło dawniej, ale naszli najprzód *Madżary*, przyszli potem *Frenki*... *didu*... *ajsej*... i zrobił się taki *kalabalyk*, że człek już nie wie, która ręka prawa a która lewa... Nie wiem ja, co znaczy uregulowanie pozycji.

„*Madżar*“ jest to miano, które od roku 1849, na-

dają Turcy wszystkim wychodźcom politycznym, bez względu na ich narodowość; „*Frenk*“ oznacza zachodniowców w ogóle. Rzeczywiście, chwila przybycia t. z. *Madżarów* jest datą od której w Turcyi rozpoczął się zamęt w pojęciach, pochodzący stąd, że rząd, dając wychodźcom politycznym przytułek i uznając tem samem powody, które wychodźstwo spowodowały, sam niejako wśród poddanych własnych propagandę rewolucyjną zrobił: jednych zaoskomił, drugich zbałamucił. Zbałamuceni zostali Turcy. Miał przeto *bimbasza* racyę, powiadając, że stracił wiadomość o tem, która ręka prawa a która lewa.

— *Bilmem* — mówił, emokał i w tył głową rzucał. Dawniej bym wiedział, co znaczy uregulowanie pozycji, a dziś... reguluj!... A nuż ciebie uregulują tak samo!...

Przez całych dni trzy kłopotał się biedny mudir rozwiązaniem zagadki, aż w końcu wezwać musiał *Kir-Michałakiego*.

— Ot, *kalabalyk*—zaczął.

— E?... jaki?...

— Dostałem od paszy pisanie.

— No?...

— Tyczące się zięcia *Szumlańskiego*.

— A?...

— Pasza chce, żeby się on przed nim stawił.

— Dobrze.

— Dotąd dobrze, ale przychodzi (tu wymówił wyraz przerobiony z wyrazu „dyplom“)... i ot sęk.

— Co za sęk?...—zapytał Grek tonem takim, jakby chodziło o bagatele.

— A ten, że ja nie wiem co to znaczy. Trzeba, żeby on coś ze sobą zabrał, ale... co?...

— Co?... Co ma ze sobą zabrać?...

Zadumał się Grek na chwilę i wychodząc z zadumy powoli, a patrząc na mudira z podełba, zaczął mu pytania zadawać:

— Cóż ty, *effendim*?... Tyś przecie do paszy pisał?...

— Pisałem.

— I oto pasza na twoje ci odpowiada pisanie?...

— Tak.

— Cóżże ty napisał?

— Napisałem, że *babo Mussa* skarży się na *Manułakiego Stanko*, iż ten chleb mu odbiera.

— I więcej nic?...

Mudir się zamyślił.

— A nie wspomniałeś o pieczęciach?

— Wspomniałem...

— Ot i masz! hm. To jasno jak dzień. To się tak nazywają pieczęcie angielskie.

— Na pakach? — zapytał Turek z wpólniedowierzeniem.

— Jakież inne!

— Trzeba przeto, żeby zabrał ze sobą paki?

— Oczywiście. Pasza chce oglądać pieczęcie.

Więc cóż! Masz po to do *Zarnicy* przyjeżdżać?

Zapytaniem tem mudir został i powiadomiony i przekonany. Pozostawała tylko druga do rozwiązania zagadka, którą Grek w lot wytłumaczył:

— Uregulować pozycję—powiedział—to znaczy, związać tak, żeby palcem nie kiwnął. Czyż można pozycję uregulować lepiej? Pomyśl sam, *effendim*.

— Prawda—rzekł mudir nieco upokorzony w miłości własnej, pomyślał bowiem sobie, że te *giaury* wszystko wiedzą.

Miłość własna nie pozwoliła mu dalej *Kir-Michałakiego* rozpytywać. Zresztą nie było już o co. Rozwiązanie dwóch głównych zagadnień służyło za klucz do rozwiązania zadania ogólnego, przedstawiającego się pod postacią spełnienia rozkazu paszy, zależącego na tem, ażeby doktora dostawić do *Ruszczuku*. Pożegnał więc Greka i odłożył rzecz do jutra, miało się już bowiem słońce ku zachodowi, więc nie było czasu do urzędzenia wszystkiego jak należy.

*Kir-Michałaki* wyszedł od mudira z uśmiechem na ustach. Z oczów tryskała mu radość. Poszedł do *jatek* i kupił całą *ewiartkę* *baraniny*; u *bakalina* wziął pół oka ryżu i spory kawałek *czerwicu* (*łoju*) czyniąc przytem inne jeszcze sprawunki, do *jadła* się *ściągające*. Było to rzeczą nadzwyczajną, zazwyczaj bowiem nie okazywał się pod względem tym *hojny* taki. *Kir-Michałaki* nie posiadał w domu *spizarni* ani też *zapasów* żadnych. Żył z grosza, w najściślejszym tych wyrazów znaczeniu—jak żyją w ogóle na *Wschodzie*, po miastach i po miasteczkach *handlarze* i *przemysłowcy*. Codziennie, nad wieczorem, sam kupował *artykuły* do *pożywienia* po-

trzebne i do domu je przynosił; matka z siostrą przyrządzały obiad, który stanowił jedyny, w ciągu dnia całego, porządny posiłek, od rana zaś do wieczora jadło się sposobem dorywczym, zapewniając *zółdek*, to chlebem suchym, to chlebem z serem, to owocami, albo też oszukując go kawą i wodą. Porządny atoli posiłek, porządnym był li tylko dla *Kir-Michałakiego* samego, który kupował *artykuły* *pożywienia* na jedną osobę. Matka, siostra i brat żywili się *okruciami* ze stołu jego, pomimo, że z nim razem do jedzenia zasiadali. On zabierał wszystko, im się dostawały resztki, pod postacią *sosu*, *tlustości* i *kości*, które on chlebem z *talerzy* wycierali i wysmoktywali, a które on im regularnie wymawiał:

— Żywię, *napycham*—powiadał. W *gębę* mi *patrzcie*. *Chcielibyście*, żeby mi się *udławił*... *he!*...

Nadzwyczajnością przeto było, gdy przyniósł *baraniny ewiartkę* całą a przy niej *dotatki*, w *obfitości* *kłórabę* *wystarczyłą* do *nakarmienia* *pół tuzina* *złodniałych*. *Jordaki*—było to *brata* *młodszego* *imię*—*zdumiał* się i nie wiedział, co robić.

— *No!*... *cóż!*... *czegóż* *stanął* *jak* *słup* *i* *oczami* *zawracasz!*...

— *Na-a* *co* *to?*...

— *Jak* *na* *co!* *Nie* *tyż* *co* *dnia* *starej* *odnosisz?* *Odnies* *to* *jej*, *niech* *mięso* *upieczę*, *a* *z* *ryżu* *piłaf* *zrobi*. *Spiesz* *się*, *bo* *pójdiesz* *jeszcze* *po* *chleb* *i* *wino*.

*Wina* *ók* *dwa*, *chleba* *o* *jeden* *bochenek* *więcej* *jak* *zwykle!*... *Kobiety* *i* *Jordaki* *z* *podziwu* *wyjsz* *nie* *mogli*, *wpadali* *na* *ten* *domysł*, *że* *Kir-Michałaki*—*co* *się* *wszakże* *nigdy* *nie* *zdarzało*—*zaprościł* *na* *obiad* *kogo* *obcego*.

*Domysł* *jednak* *okazał* *się* *nietrafnym*. *Na* *obiedzie* *nie* *było* *nikogo* *obcego*. *Kir-Michałaki* *nabrał* *sobie* *najpierwszy* *i* *najwięcej* *i* *odsunął* *półmiskę*.

*Matka*, *siostra* *i* *brat* *tknąć* *nie* *śmieli* *tego*, *co* *jeszcze* *nie* *dogryzkiem* *nie* *było*. *Kir-Michałaki* *zrazu* *na* *to* *nie* *zważał*, *lecz* *rzucił* *z* *podełba* *okiem* *i* *nagle* *zapytał*:

— *No?*...

*Matka* *usta* *ścisnęła*, *oczy* *zmrużyła* *i* *głowę* *pochyliła*; *siostra* *westchnęła* *i* *do* *góry* *wzrok* *wzniosła*; *brat* *odchrząknął*, *wlepiając* *oczy* *w* *pieczeń* *baraną* *i* *nadymając* *się*.

— *Czemu* *nie* *jecie?* *Jedźcie!*

*W* *ten* *sposób* *tiutiundzi* *nie* *odzywał* *się* *nigdy*.

— *Michałaki*, *zawołała* *matka* *a* *głos* *jej* *drżał* *wzruszeniem*.

— *Co?*

— *Przypomniały* *mi* *się* *czasy* *dawne*, *bardzo* *dawne*... *kiedys* *ty* *przemawiał* *tak*, *jak* *przemówiłeś* *teraz*.

*Kir-Michałaki* *ręką* *od* *niechcenia* *machnął*.

— *Nastały* *potem* *inne*.

— *A* *potem* *nastaną* *może* *znów* *inne*. *Tymczasem* *zaś*, *jedźcie* *i* *pijcie*. *Oto* *kiebab*, *oto* *piłaf*, *oto* *wino*.

*Matka*, *siostra* *i* *brat* *łapezywie* *się* *rzucili* *na* *zastawione* *dania* *i* *wypróżniali* *misy* *i* *talerze* *z* *szybkością* *niezrównaną*, *jakby* *jedno* *drugie* *prześcignąć* *chciało* *we* *względzie* *ilości* *spożytego* *jadła*. *Zapychali* *się*, *dławili* *i* *winem* *popijali*. *Jordaki* *dłonią* *gębę* *sobie* *zatykał*, *żeby* *się* *z* *niej* *nie* *wysypywało*. *Uczta* *taka* *trafiła* *się* *mu* *w* *życiu* *po* *raz* *pierwszy*. *To* *też* *nie* *żałował* *sobie*, *tem* *bardziej*, *że* *Kir-Michałaki* *nie* *wyrzekł* *ani* *jednego* *wyrazu*, *któryby* *na* *wymówkę* *zakrawał*. *Przeciwnie*, *cieszyć* *go* *się* *zdawał* *apetyt* *wilecy* *przez* *rodzinę* *jego* *rozwinęty*. *Uśmiechał* *się* *do* *siebie* *i* *niekiedy* *ustami* *ruszał*, *jakby* *sam* *do* *siebie* *mówił*.

*Najedli* *się*, *napili* *i* *spać* *poszli*.

*Nazajutrz* *Kir-Michałaki* *obudził* *się* *przed* *dnia* *świtaniem*, *zerwał* *się* *z* *pościeli*, *umył* *się*, *ubrał* *i* *wyszedł*. *Zwyczajem* *jego* *było*, *dzień* *rozpoczynać* *od* *odwiedzania* *kawiarni*, *znajdującej* *się* *naprzeciw* *jego* *sklepu*, *po* *drugiej* *rynku* *stronie*. *Tam* *pił* *wodę*, *kawę* *i* *palił* *nargile*. *Tym* *razem* *jednak* *nie* *do* *kawiarni* *się* *udał*. *Skreślił* *w* *prawo* *i* *wszedł* *w* *ulicę*, *przy* *której* *stał* *dom* *starego* *Szumlańskiego*. *Switało*. *Ulice* *były* *jeszcze* *puste*, *tę* *tylko* *jedną* *od* *połowy* *zajmowało* *wojsko* *pod* *bronią*. *Pomiędzy* *żołnierzami* *widzieć* *się* *dawały* *dwa* *wozy* *turreckie*, *znane* *nam* *z* *poprzedniego* *opisu* „*haraby*“, *zaprzężone* *i* *do* *drogi* *gotowe*.

*Kir-Michałaki* *stanął* *z* *daleka*, *ręką* *za* *rękę* *się* *ujął* *i* *przybrał* *postawę* *widza*, *przypatrującego* *się*

obojętnie. Czasem na obliczu jego pojawiał się uśmiech, przesuwał się i znikał. Nie ruszał się z miejsca, pomimo, że wrodzona w człowieku ciekawość ciągnąć go musiała do przypatrzenia się zblizka scenie odegrywanej za jego powodem.

A była to scena bolesna dla rodziny Szumlańskich.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## PRZEGLĄD TEATRALNY.

(Dokończenie).

Gdybyśmy jednak tu i owdzie spostrzegli ślady słabości ludzkiej, byłibyśmy się łatwiej pogodzić mogli z ludzkim jego upadkiem.

Dopiero w samym końcu, w rozmowie z królową, kiedy już śmierć czyha na niego, śmierć o której wie dobrze, uznaje swoje zuchwalstwo, żałując „że tak igrał sobie z niebem,—że człowiek nie powinien, nie będąc wszechwiedzącym, pomijać przypadki i okoliczności“.

Ale cała ta spowiedź ostatnia, piękna szlachetnie wypowiedziana myślą, nie obroni tego charakteru od zarzutu niejednorodności, niekonsekwencji, a nadto od zarzutu, że posługiwał się środkami niemoralnymi. Sam przyznaje, że znał namiętność don Carlosa do swej matki, że mógł ją zwalczyć a nie chciał. Dla czego? Bo mu była potrzebna w dalszych jego celach, bo jak mówi dosyć po heglowsku poeta: „W tym beznadziejnym zapale, poznałem wnet nadziei promień złoty, chciałem go doprowadzić do doskonałości, do najwyższej piękności podnieść go chciałem“.

Szczelbowanie takie zbyt razi metafizyką, a nie nie usprawiedliwia tego bohatera w obec widza, pragnącego wiedzieć: co i dla czego? Poświęcenie samego siebie dla don Carlosa, nie jest więc, uważając rzecz ze stanowiska wyższego, o jakie autor z naciskiem tu i owdzie się dopomina, ofiarą najbezinteresowniejszej przyjaźni, ale ofiarą jakiegoś już rzekli dla idei, dla nadziei że infant ten zostawszy królem, stanie się szczęściem ludzkości. Pojmuje to lub dorozumiewa się tego król Filip, skoro woła żałując zabitego Pozy: „Taki Poza nie umiera za chłopca. Przyjaźni chudy płomyk nie zapelnia serca takiego Pozy. Serce to było dla całej ludzkości—miłość jego była dla całego świata z przyszłymi pokoleniami“.

Tą myśl podnosi autor w charakterze Pozy wybitnie, ale nie tak jednolicie iżby wielu, sądząc zwłaszcza z przedstawienia samego, wierzyć nie mogło, iż poświęca się on jedynie dla przyjaciela.

A ten biedny don Carlos! Był on w pierwszych latach młodości śmiałym, ognistym młodzianem, marzącym o wytworzeniu złotego wieku w Hiszpanii. Myślał nad tem wiele, co w niepokój wprawiło kliki takich Domingów i Albów; lecz nagle zapomniał o tych marzeniach, a przyczyną zapomnienia jest tajemnica straszna, wyjawiona Pozie w tych słowach: „Kocham moją matkę“. Wie on do czego ta miłość doprowadzić go może, bo do szaleństwa lub na rusztowanie, ale nie może poskromić w sobie tej zmysłowej namiętności. Ona to pozbawia go wszelkiej woli i energii działania, dla niej wyrzeka się zamiaru wyswobodzenia Niderlandów. I staje się drugim Hamletem, którego tyłu poetów ma zawsze przed oczyma. Carlos i Hamlet, obaj pod ciężarem tłoczącej ich namiętności, wpadają w ostateczność; obaj nie podolają swemu zadaniu, a ofiara Pozy była daremną. Ta tylko między obydwojma różnica, że Carlos oczyszcza się w swej namiętności, i w tem tylko leży jego kara, że spełnić nie może zadania o którym marzył, które mu przekazał konający przyjaciel.

Szyller stworzył Carlosa istotą miękką, choć szlachetną, tęskniącą i potrzebującą wiecznie oparcia. Sam Carlos tak się charakteryzuje:

„...Nie odpychaj mnie, zaklinam!  
Ześ mnie sierotę blisko tronu znalazł  
I ze współczuciem podjął. Nie wiem wcale  
Nazwiska ojca, wiem że syn królewski,  
O! jeśli prawda co mi serce mówi  
Jeśli ty jeden wśród miliona ludzi  
Jesteś wybrany poznać mię, zrozumieć,

I jeśli chciało twórcze przyrodzenie  
Rodryga kiedyś w Carlosie powtórzyć,  
I do harmonii dźwięcznej nasze dusze  
W poranku życia zgodnie nastawił;  
Jeśli łaż jedna, co mi ulgę niesie,  
Droższą jest Tobie, niżli króla łaska“...

(przekład Tomaszewicza).

Uspodobienie naturalne Carlosa, wzmogło jeszcze wychowanie zostawiające go w ciągłym osamotnieniu, jestto jeden względ więcej, tłumaczący przewagę Pozy nad nim. O innych postaciach jak o królowej, Domingu, księciu Albie niewiele się da powiedzieć;—wszystkie one zarysowane jasno i wybitnie w tragedyi. Domingo, spowiednik królewski, intrygant i narzędzie zgromadzenia stojącego ponad nim, ponad królem i całą Hiszpanią, Alba, dumny, ambitny, okrutny, nie przebiegający w środkach dla dogodzenia swojej ambicji i woli swego króla,—i królowa cicha a nieszczęsna ofiara, obowiązkiem i ceremoniałem skrepowana aż do chwili, w której raz wybuchnąwszy uczuciem, umiera (w tragedyi).

Najważniejszą wszakże figurą jest król Filip II, jako przedstawiciel historycznej myśli, jako jeden z mocarzy swego czasu, który potęgą i siłą chciał zniszczyć wszelkie nowości religijne i filozoficzne, jakie wówczas w coraz groźniejszej formie powstawały. Najartystyczniej też wykonany jest w tragedyi, a chociaż można mu zarzucić zbyt liryzm w uniesieniach jego dla Pozy, niewłaściwy temu monarsze, nie chcącemu rozumieć uczuć ludzkich, przeciw wchodząc w myśl kontrastu o jaki poecie chodziło, zgodzić się można na to odstępstwo od wierności historycznej. Dotknięty w uczuciu ojca i małżonka, przekonywa się poraż pierwszy w życiu, że jest tak samo jak inni słabym tylko śmiertelnikiem, i dla tego szuka człowieka któryby wyjawiał mu prawdę, włął zarazem balsam pociechy w jego serce. Ta strona związku absolutnego pana z ludźmi w rzeczy uczucia, z którego nie tak łatwo wyswobodzić się można, uderza oryginalnością, nadając niezwykłą podniosłość rozsnuwającej się akcyi.

Pokochawszy raz jak syna Pozę, tego dziwnego młodzieńca, który ważył się mówić prawdę, domagać się reform za które inkwizycya paliła na stosie, i nie prosić o żadną łaskę, uczuwa po jego śmierci zazdrość, że życie swoje poniósł w ofierze nie dla niego, ale dla infanta, i woła rozdzierającym głosem: „oddajcie mi zmarłego, niechaj o mnie myśli inaczej“.

Lecz po tej zawiedzionej ufności w jednego człowieka, dawna pogarda ludzi i ich nienawiść, obudzi się srożej jeszcze w jego sercu, i zetrze w proch opornych, bez względu na to, czy opornym będzie jego syn własny. „Wieczór dzisiejszy do mnie jeszcze należy!—tak się król sroży — w dziesięciu wiekach nie będzie nikt siał po mnie na tem zgliszczu,—ludzkość zapłaci mi za tego Pozę!“

Tak więc wszystkie szlachetnie padli, zli zwyciężyli, realizm, rzeczywistość nieubłagana zwyciężyła, a jednak ostatnie wrażenie nie jest druzgoczące;—przeciwnie, genialne technienie poety ukoło wzruszone dusze, wskazując w dali tryumf.

\* \* \*

Cheemy naszym czytelnikom dać istotny obraz historyczny tych postaci, jak najtreściwiej skrócony, ażeby okazać jaki odskok dzieli nieraz poetyczną fantazją od zimnej suchej rzeczywistości. Don Carlos urodził się w r. 1545 z Maryi, córki Jana III króla Portugalii. Młoda matka umarła w 3 dni po bolesnym powiciu syna. O wychowanie don Carlosa, starali się najtroskliwiej, wbrew twierdzeniom niektórych historyków, ojciec i dziad: Karol V. Najoświeceniś naucciele, zdawali sprawę z każdego kroku młodego ucznia. Sprawozdania też te do roku 1558, wyrażają zadowolenie z nauk i postępowania królewicza, lecz odtąd ton ich się zmienia;—przebiega z nich pewna tajemniczość, a równocześnie rozchodzą się wieści o szczególnym i dziwnym charakterze infanta. Niektórzy oskarżają go wprost o dzikość, że np. raz jaszczurce, która go ukąsiła w palec, odgrzył w gniewie łepkę zębami. Zdaje się wszakże że postęпки te płyną tylko z usposobienia gwałtownego lub chwilowego naruszenia umysłu, bo są na to dowody, że Carlos miał dobre serce i był szczerym. Tu trzeba przypomnieć jakim zbiegiem okoliczności, przypadła Filipowi II za żonę Elżbieta Valois, która

była przedtem zaręczoną z infantem. Po zawartym pokoju w Cateau-Cambresis, dwa państwa zawierające pokój, postanowiły silniejszym węzłem wzmocnić dom francuzki i austryacki. W tym celu, przeznaczono Elżbietę córkę Henryka II don Carlosowi, Filip zamyślał naówczas żenić się z Elżbietą angielską. Ale ta łudziła go czas długi i grając komedję z nim, bo nieśmiała otwarcie drażnić potężnej naówczas Austrii, aż Filip poznawszy się na tem, i nie mogąc liczyć już na Anglię, zamyślił ożenić się z narzeczoną syna. Don Carlos mimo febrę, był obecnym na ślubie, jako jeden ze świadków ojca. Elżbieta ujrawszy po raz pierwszy Filipa II, przypatrywała mu się tak uporeczywie, że urażony król zapytał: „Czy upatrujesz na mej głowie siwych włosów?“ (o czem jest i w tragedyi). Królowa miała wtedy lat 15, król 33. Poei na pierwszym widzeniu się królowej z Carlosem, zakładają wszystkie kolizye dramatyczne. Tymczasem miał on wtedy dopiero lat 18, o co wreszcie mniejsza, ale był brzydkim i tak upośledzonym moralnie i umysłowo, iż niepodobna iżby był natchnął miłością, piękną, młodą kobietę, czarującą blaskiem urody na najwykwintniejszym dworze Europy. Elżbieta odgrywała zawsze podrzędną rolę w życiu Carlosa. Słodka i bojaźliwa, pędziła życie cicho i samotnie i zgasła, pozostawiając po sobie wspomnienie cnót i wdzięków. Szyller potrzebował ją tylko skopjować, aby trzymać się prawdy. Wszyscy historycy na to się zgadzają, że życie jej wzbudzało powszechny szacunek u ludu i u dworu. Przywykła do innego życia, musiała się jednak zastosować do ponurej madryckiej etykiety. Skromna, nie mieszała się do spraw państwa, chyba gdy chodziło o utrwalenie harmonii z jej ojczyzną.

Oczcił ją też i Carlos, ów sierota nie znający pieśszetot matki. Kochał ją jednak miłością braterską i synowską, dla tego, że koła cierpienia jego fizyczne i moralne. Synupatya obojga do siebie, nie była tajemnicą u dworu. Wkrótce po zawartem małżeństwie, chciał Filip ogłosić uroczyste następstwo na tron swego syna. To świadczy że kochał szczerze swego syna, ale że nie znał jeszcze dokładnie jego stanu. Epoka nieporozumień między ojcem i synem, zaczyna się od czasu, gdy król chciał się przekonać czy syn będzie godnym następstwem tronu, bo odtąd poddał go systematowi twardemu i surowemu. Kiedy Carlos bawił jeszcze w Alkali, upadł raz i uderzył się głową o zamknięte drzwi tak silnie, że zemdlął. Lekarze orzekli, że była to kontuzya błony czaskowej. Chorował śmiertelnie, podczas choroby okazywał dowody wytrwałości i przywiązania do otaczających go osób. Król zaś drzał o jego życie. Don Carlos prowadził nieporządne życie, zbyt kował w jedzeniu i picu i popełniał coraz dziwniejsze czyny, znamionujące szaleństwo, co ambasador francuzki nazywał: „bólom głowy“. Król na pozór spokojny, udawał że nie wie o stanie umysłowym swego następcy, wołał raczej uważać go za hardego i opierającego się wszelkiej władzy. Ztąd wyrobiło się położenie pełne niebezpieczeństw i obustronnych skandalów. Filip nie chciał ustąpić ani na krok w surowem prowadzeniu syna. Don Carlos karku nagiąć nie chciał. Doszło do tego, że zaczął nienawidzić ojca i wszystkich którzy mu służyli. Teraz też dojrzewając, miewał coraz częstsze napady wściekłego gniewu, podczas których stawał się dla wszystkich straszny. W miarę tych napadów, gniew Filipa wzrasta. Natura stworzywszy Carlosa słabowitym i niedołężnym, miotanym coraz to innymi wichrami kaprysu, ochroniła go od odpowiedzialności, jakiej podlega każdy człowiek zdrowy na ciele i umyśle, a tembardziej przyszły król jednej z najpotężniejszych monarchij. Pomijamy tu wiele ciekawych i charakterystycznych szczegółów z życia infanta, zabiegi o ożenienie go z Maryą Stuart, z młodszą córką cesarza Maksymiliana, dość powiedzieć że mało kto znał dokładnie stan jego fizyczny i moralny, ze wszech miar zastraszający. Dlatego robienie Carlosa bohaterem mającym wyswobodzić Niderlandy z pod ucisku ojca, nie jest zgodnem z prawdą. Dziś bowiem twierdzić można z pewnością, że on nigdy nie marzył o chwale obrońcy tolerancji religijnej, a mieszanie się jego w politykę, było tylko oporem nierozumnego dziecka przeciw surowemu nad miarę i słusznemu, ojcu. Łatwo więc udało się wysłańcom Flandryi, znaleźć przystęp do infanta, który sam niewiedząc dlaczego, zgodził się na wszelkie propozycje i na ucieczkę z Hiszpanii. Odtąd jednak zżęcony temi konszach

tami, zaczął przywiązywać wielką wagę do swego stanowiska politycznego, napominając nawet radę królewską, ażeby się gorliwiej zajmowała sprawą Flandryi. Wnet omotany został w zdradnie sieci przez króla z pomocą księcia Eboli, odgrywającego rolę jego powiernika, aż doprowadził po rozmaitych przejściach, na opis których nie ma tu miejsca, do ostatecznej katastrofy. Pozostawił się bowiem księcia Eboli, co zaniepokoiło króla, niewiedzącego teraz o jego zamiarach. I kiedy Carlos rozpisuje listy do grandów, prosząc ich o pieniądze potrzebne mu do ucieczki, król zwołuje radę stanu, a w d. 15 czerwca 1568 r., każe infantę uwięzić. Uwięzienia dopełniono o 12 w nocy, z królem na czele. Don-Carlos przestraszony niezmiernie, rzucił się na ogień płonący na kominku. Szczegółami tej okropnej sceny, w której Filip okazał się nieubłagany, ohydza wielu historyków charakter króla, który jednak w sprawie ze synem obłąkanym i narażającym całe państwo, inaczej postąpić nie mógł.

Dalsze szczegóły więzienia i śmierci Don Carlosa, jakoteż postawy ojca względem syna, króla względem następcy tronu, nie tutaj należą; chcieliśmy bowiem tylko w najgłówniejszych rysach, wykazać ogromną różnicę między historycznością a fantazją, zwłaszcza Szyllera, w jego dramatach o historycznych tytułach. (W trylogii Wallensteina wykazaliśmy to również).

Co do zewnętrznej strony Don Carlosa, dodać trzeba, że nie był on pięknym, nie miał ognistych oczu, ani ponętnej postaci, jak się to podobało sławie poetom, a nawet niektórym historykom. Według wernego portretu, zachowanego po dziś dzień i według świadectwa naocznych świadków, Don Carlos obwiślał miał ramiona, tułów na przód pochylony, cerę bladą, oczy bez wyrazu i w ogóle wszystkie ruchy iąła chorobliwe. Jeden z ambasadorów pisze: „Ma brzydką twarz, lubo cerę białą, a włosy blond, przytem nogi jego nierównej są długości.“ Później zaś, gdy miał zaślubić córkę cesarza Maksymiliana, ambasador francuzki Forqueval pisał: „Przykro jest, że księżniczka czeska ma poślubić księcia tak brzydkiego i takich obyczajów.“ Pochylony, mały, chuderlawy, dalekim był od rycerzy uganiających się o barwy dam na turniejach. I jakże mógł myśleć o turniejach, gdy tak dalece chorował bezustannie na febrę, iż kiedy chwilowo przychodził do zdrowia, król zawiadamiał natychmiast o tej szczęśliwej zmianie obce dwory.

Jeszcze więc jedno rozczarowanie dla naszych czytelniczek, jeżeli rzadziły się ślepa wiara dla Szyllerskiej kreacji; w każdym jednak razie jest tyle piękności w tej tragedji, że o smutnej rzeczywistości zapomnieć można i zapomnieć warto!

\* \* \*

Na scenie warszawskiej przedstawiono „Don Carlosa“ w tłumaczeniu pp. A. S. i K. F. A jakie to było tłumaczenie, niechaj poezya, prozodya, gramatyka i cienie Szyllera przebaczą tłumaczom! Zdaje się nam, że podobnie niezdarnego, prozaicznego, rażącego najmniej wybredne estetycznie uszy, nie było jeszcze dotąd na scenie naszej. Prawdziwie niezmiernie dziwić się trzeba poświęceniu naszych artystów, poświęceniu całkiem bezpożytecznemu, a nawet bardzo szkodliwemu, że mogąc wybrać przekład daleko lepszy, wybrali ten, ucząc się na pamięć dziwolągów, całkiem dla publiczności niezrozumiałych lub wstępnych. Wszakże prócz przekładów „Don Carlosa“ jako: przez Augusta Bielowskiego we Lwowie i wielu scen pojedynczych przez Tomaszewicza, Trentowskiego, Jul. Paszkowskiego, A. M., (podobno też całego przekładu dokonał hr. Borkowski) Kazimierza Bujnickiego, mamy wcale niezły przekład całości dokonany przez M. Budzińskiego. A gdyby wreszcie polecieć przekład umysłny komuś, co nie powiedziałby w najpatetyczniejszej scenie: „Ja już skwitowałem z wszystkiego“, albo: „Ten wzrok pochylony“, komuś, co strzegłby się częstochowskich końcówek: *Boże i może*, co kilka wierszy! Nie pastwiłibyśmy się nad tym przekładem, gdyby nie był on jedną z głównych przyczyn niepowodzenia sztuki. Nie pamiętamy, iżby kiedy tyle raziła pospolicie i nagosc dykcyi, nawet w deklamacyi tych, którzy jak p. Królikowski, wybornie głosu zażywać umieją. Dodawszy do tego niemilosierne i nielogiczne skrócenie, dziwić się nie będziemy, że większość publi-

czności, nieobeznana ze szczegółami sztuki w oryginalnej, toku i rozwoju intrygi wcale nie rozumiała, niewiedząc często zupełnie o co chodzi. Tak na przykład wypuszczenie dowolne, sceny piętnastej w akcie drugim, nie przyczyniło się wcale do wyjaśnienia postępowania Pozy, który i tak czyni swoje z woli autora, dosyć długo tajemnicą okrywa; a wypuszczenie również dowolne, sceny siódmej w akcie trzecim, wielce charakteryzującej króla Filipa, niekoniecznie było nieuniknione. Z tej też sceny, dowiedzieliby się artyści czy ci do których to należy, jak się zachować ma dwór w obecności królewskiej, czy grandowie w ogrodzie, na audyencyi i zawsze, mają być w kapeluszach na głowie, czy też że je nakryć powinni wtedy dopiero, gdy im król na to pozwala. Oto w scenie tej, zgromadzeni wszyscy grandowie, a między nimi księżę Medina Sidonia, w której ma zdawać na uroczystym posłuchaniu sprawę z rozbicia Armady, oczekują nadejścia króla. Król wchodzi, wszyscy zdejmują kapelusze, dopiero król odzywa się: „Nakrycie głowy,“ a potem znowu wysłuchawszy księcia Medyna, podaje mu rękę do pocałowania i każe mu głowę nakryć. Są to wskazówki podane przez samego autora, znającego się na tem dobrze, a w każdym razie nie do pogardzenia. Również w akcie czwartym, scena dwunasta, w przekładzie, wychodzi tak niejasna i obcięta, tak pozbawiona wskazówek dla słuchacza, że ten wprost już może posądzić Pozę o niezbyt zaszczytne donosicielstwo królowi.

Godziłoby się też postarać o dworzan piękniejszą a mianowicie odpowiedniejszą przybranych, jeżeli już o ich układ i zachowanie się w obec króla, trudno. Widzieliśmy kilku Mameluków w czerwonych, jaskrawych kostiumach, które jeżeli miały być maurytańskie (?), to w każdym razie nie mogłyby przystrajać dumnego hiszpańskiego granda. Są to na pozór drobne rzeczy, ale w przedstawieniu sztuki tego znaczenia, razić muszą, — a przecież tak łatwo ich uniknąć!

Te i inne przeto przyczyny, sprawiły że powodzenie tragedji Szyllerskiej „Don-Carlos“ mniej się nam wydaje zapewnionem, a nawet i wyznać trzeba szczerze, wprost zachwianem. Artyści z kilkoma wyjątkami, pracowali szczerze, znać było w tej pracy studia a jednak nie podołali zadaniu. Czyż się nawet dziwić można, że tak utalentowany i sympatyczny artysta jak pan Leszczyński, niewiele był w stanie zrobić z rolą, z której został się zaledwo szkieletem, której, wzięwszy ją osobno, niezrozumiałby najbieglej czytający starożytnie hieroglify. Poza w takim skróceniu i takim przekładzie, jest sfinanssem, którego by się z oburzeniem wyparł poeta, jego twórca. Pan Tatkiewicz niezmiernie dużo zadał sobie trudu w swej forsownej roli Don-Carlosa i przyznać mu można zrozumienie, wykonanie w wielu scenach bardzo dobre; — zarzucić tylko trzeba złe użycie głosu w akcie drugim, i niepotrzebną a raczej zbyt od pierwszej już sceny wygórowaną patetyczność, która w ten sposób przeszkodziła umiejętnemu tejże a koniecznemu stopniowaniu. Zapewne w dalszych przedstawieniach, umiarkuje p. Tatkiewicz miotanie się zanadto namiętne, a już z woli autora po części nieuniknione. Zyska na tem niemało sam charakter, rażący widza z winy autora, pewną dezorganizacją nerwową. Pan Królikowski, potężnie miał zadanie w roli Filipa II. Rozwiązał je zwycięsko, czego po tak znakomitym artyście spodziewać się należało. Możebyśmy tylko woleli trochę więcej skupienia w sobie, w scenach najgwałtowniejszego wybuchu, a raczej trochę więcej impozycyji, chociaż artysta trzymał się tu najściślej woli poety. Gdyby los tej sztuki, zależał od talentu takich artystów jak p. Królikowski i p. Modrzejewska, nie balibyśmy się o nią, ale są pewne fata, których uniknienie, zdaje się nie leżeć jeszcze w mocy ludzkiej. Istotnie, p. Modrzejewska, czarująca była Eboli. Przedstawiła się nawet w tej roli, z całkiem nową stroną. Namiętą, ognistą, ujmująca zdradną a czarowną kokieterią księżniczka, oplatająca w swe ponętne sieci hamletowskiego królewicza, porwała widzów szczerem uniesieniem. Rola ta nie wielka rozmiarem, jest jednak nadzwyczaj trudną, i trzeba też bardzo czuść się na siłach, ażeby wyjść z niej naturalnie i zyskać jeszcze w nagrodę szczerą a zasłużoną poklask. Wdzięk p. Modrzejewskiej, odnalazł tu sobie nowy a już charakterystyczny odcień; trudność zaś techniczną samej roli, oceni każdy rzeczywisty znawca.

Niestety! wielka szkoda że p. Nowakowska, której gra w roli królowej wiele miała zalet, niemogła wszakże dorównać siłą wykonania, takiej artystce jak p. Modrzejewska. Nigdy też może kaskady kwiatów, nie oddawały słuszniej hołdu benefisantce jak tym razem.

Edward Lubowski.

## LISTY Z ZAGRANICY

przez J. I. Kraszewskiego.

Wiosna i zima. — Fiołki i ludzie. — Mytyczna akademja dla kobiet w Dreźnie. — Akademia ubioru. — Konserwatyzm drezdeński. — Palenie ciał i grzebanie. — Stare i nowe dzieje. — C66 o tem z r. 921. — Bulwera Paryżanie. — Przedmowa syna. — Kilka słów o księżce. — Pergameni. — Jour d'épreuves. — Treść powieści. — Niemieckie powieści i romanse. — Ruthenberga pisarze dramatyczni drugiego cesarstwa. — Dumas. — Augier. — Feuillet. — Barriere. — Sardou. — Powieści na scenach. — Wilbrand. — Mosenthal. — J. Rosen. — Sardou. — Meilhac i Halevy i hr. Koziobrodzki.

Wiosna zasypała nas śniegiem spóźnionym i niekrologami. Nazywam ją wiosną, bo już fiołki zabierają się kwitnąć, już widzieliśmy pączki zielone, już w Berlinie mówiono o jaskółkach, gdzieindziej o szpakach, ktoś widział bociany... Tymczasem z Włoch, Grecyi, Konstantynopola, Egiptu, przysły wiadomości o śniegach, zawiejach i mrozach, u nas też powiały wiatry zimne i owe zielone nadzieje Skończyły się na — błocie. — Marzec może i kwiecień cały pokutować będziemy za to żeśmy zimy nie mieli. Rok zapowiada się, zdaniem meteorologów, którzy kłamią jak astrologowie dawniejsi (to pociesza) — nadzwyczaj nieprzyjemnym, przemienym, chłodnym i słotnym, *quod Deus avertat*, ale cóż poradzić na to? Fiołkom, które już rozkwitwały, musi być nieskończenie przykryj niż nam, co mamy piece hermetyczne i okna podwójne.

Ktoś tam podobno doniósł aż do Warszawy, że tu w Dreźnie urządza się jakiś wyższy zakład, rodzaj akademii dla kobiet. Do mnie wiadomość o tem przysłała z nad Wisły. Byłem tak upokorzony nieświadomością moją, bom o tem dotąd nie slysział wcale, że m zapytaniami i listami do redakcyi pism, z urzędu obowiązanych wiedzieć o faktach takiej doniosłości, zarucił wydawców. Znalazłem wszędzie zdumienie, ale nigdzie potwierdzenia owej fundacyi. Być może, iż myśl podobną powziął ktoś tutaj, coby nawet do podźwignięcia miasta (po wyjeździe kilkuset rodzin amerykańskich) przyczynić się mogło — ale dotąd ani slychać o skutku. Akademję ma tylko Drezno jedną, o trzy kroki odemnie, — jest nią kamienica, na której czele świeci tu tytuł, ale w niej uczy się krawcy, jest to instytut artystyczno-rękodzielniczo-modny. Jeśliby akademja dla kobiet tak skutkować miała na nie, jak wymieniona instytucya na krawców... żal się Boże — zachodu. Nigdzie w oplaćniejszym stanie nie znajduje się sztuka odziewania człowieka.

Instytutów dla płci żeńskiej, bardzo dobrych, ale bardzo zwyczajnych, mieści Drezno ilość znaczną, — o akademii żadnej nie wiemy. Z różnych stron świata zjeżdża się tu rodzin wiele dla wychowania, szczególnie panienek, są pewne ułatwienia, dogodności — lecz nauki nie posuwają się wyżej nad zwyczajną skalę i nie obejmują zakresem swym nic więcej nad przyjęte od dawna programy. Drezno, jak Niemcy w ogóle, mimo wyjątkowych wypadków — jest natury nadzwyczaj konserwatywnej i co tu raz się zagnieżdzi, nie łatwo się zmienia, ulepsza i podnosi. — Tradycje są szanowane aż do przesady, a dla świętego spokoju, utworzone drogi najmilsze wszystkim — choćby na nich były kałuże, wyboje i różne inne niedogodności. — Potrzeba lat, ażeby się na coś nowego zebrano, uradzono, określono plany, przystępując do wykonania z flegmą i rozważą dawnemu charakterowi Niemiec właściwą. Ma to swe dobre i złe strony...

Nie sądzimy też, aby jakakolwiek nowość tu najpierwej zjawie się, albo przyjętą i zastosowaną być mogła. Od niejakiego czasu mówią i piszą wiele, nawet w Niemczech o zaprowadzeniu. zamiast grzebania umarłych, palenia ciał ich... ale w Dreźnie z pewnością grzebanie się będą obywatele sasey długo

choćby w całej Europie nowy ten obyczaj miał być przyjętym.—Mysł ta, od lat kilku się wzmacnia i powraca uparcie. Wiadomo, że zmarły książę Puckler-Muskau testamentem nakazał ciało swe spalić lub sposobem chemicznym rozłożyć i stało się woli jego zadosyć. Wróconoby ze zwyczajem tym do prastarego indo-germańskiego, którego ślady w całej Europie spotykamy. W Indyach, obok palenia ciała, utrzymuje się, miasto grzebania—rzucanie ich w święte rzeki, do Gangesu. U Germanów i Keltów najstarsi historycy znają tylko palenie ciał na stosach, tak samo u Słowian, w Grecyi i Rzymie. Tu jednak działo się rozmaicie i niedosyć jasno wiemy dla czego jednych palono, drugich grzebano bez tego obrzędu. U Rzymian pewne rodziny, a zatem niektóre plemiona, weszły w skład ludności z tradycjami, swojemi,—grzebały swych zmarłych zapewne wedle obyczaju przodków. Król Numa został pochowany; ród Corneliusów składał też ciała swych członków w sarkofagach aż do Sulli, który spalić się kazał, może w obawie pomsty późniejszej nad ciałem...

Zdaje się, że nie. Latyńskie żywioły w Rzymie, zachowały obyczaj pogrzebów. (Opieramy się tu na poszukiwaniach prof. T. W. Unger w Getyndze). Cicero i Plinius utrzymują że palenie ciał było zwyczajem późniejszym, z obawy profanacji czasu wojen przyjętym... Rozmaite sposoby i obrzędy, przywodzi cytowany przez nas uczoney, których powtarzać za nim nie będziemy, — wymieniam tylko lipskiego profesora, Reclama, który z pomocą prądu rozpalonego powietrza, w nadzwyczaj krótkim czasie ofiaruje się w popiół obracać ciała i zachęca do zaprowadzenia incineracji. Przeciwnicy utrzymują że pod względem zdrowia i czystości powietrza nieby ludność na tem nie zyskała, a nawet przeczą, ażeby kości tak łatwo dały się spopielić.

Ze przyjemniej jest pomyśleć o obróceniu się w popiół i zamknięciu w marmurowej, a choćby w glinianej urnie, niż o powolnym rozkładzie... to pewna, lecz stare zwyczaje z taką się trudnością zmieniają, a nawet religijny obrzęd dał by się niełatwo do palenia zwłok zastosować. — Marne to więc rozprawy i głosy za lub przeciw, które służą tylko za rozrywkę (smętną) ciekawym czytelnikom dzienników i uczonych rozpraw. — W r. 921 Achmed Ibn Foslan wysłany w poselstwie z Bagdadu do króla Słowian, nad Wołgą (Itil) przypatrywał się na wyspie paleniu na stosie ciała jednego z wodzów, nie mogąc się powstrzymać od oburzenia nad dziwaczniemi pogrzebowemi obrzędów Waregów... Widząc to rusin przez tłumacza kazał mu powiedzieć: — „Wy Arabowie głupim jesteście narodem. Najmilszego wam, najgodniejszego cześć człowieka ciało, zagrzebujecie do ziemi na pastwę robactwu i zgniliznie; my w jednej chwili palimy je, aby natychmiast i bez zwłoki człowiek się znalazł w raju.“—U Czechów było podanie, że dusza w postaci ptaszyny latała po drzewach, dopóki ciała nie spalono — naówczas znikała uspokojona.

Złożyło się tak, żeśmy od mogli istosów list ten począć musieli, chcielibyśmy to czemś weselszem opłacić, ale wybór tak trudny! rzeczy wesołych tak na świecie mało! Na lewo wprawdzie leżą listy Merimégo do nieznanym — o których powiedzieć coś krótko trudno—a długo byłoby może zbyt cennym—na prawo aż cztery tomy pośmiertnego dzieła Bulwera „*The Parisians*“. Zwróćmy się ku tym ostatnim. — Syn zmarłego a wydawca „Paryżanów“ powiada w przedmowie dołączonej do czwartego tomu, iż „*Kenel Chillingly*“.—„*The coming race*“ i „*The Parisians*“, razem i w jednej myśli były osnute, stanowią pewien rodzaj całości i różnią się wszystkie wielce od innych dzieł Bulwera.

Pozwalamy sobie powtórzyć to co syn, wtajemniczony w ojcowskie myśli, mówi o treści.

„Satyra jego dawniejszej nowelli jest protestacją przeciwko fałszywym społecznym znakomitościom (respectabilities); humor jego późniejszych protestuje znowu, ale przeciw brakowi poszanowania społecznych rzeczywistości. W pierwszych starał się o wydobyć ze społeczeństwa na jaśnie charakterów i pobudzenia do swobodnego ich rozwoju; drugimi chciał zaszczerpić wzajemną miłość i współczucie pomiędzy klasami różnemi społeczności. „bo od ich wzajemnego na siebie działania zawisł charakter narodowy. W ostatnich trzech pismach swych, utworach późniejszych, moralny cel wyraziście jest oznaczony i wyłączenijszy. Każde z nich jest przeznaczono

ne do oddziaływania na niebezpieczną popularność pewnych społecznych i politycznych teorii, lub przestroga przeciw wpływowi pewnych umysłowych prądów na charaktery indywidualne i życie narodowe. — Cel we wszystkich pismach jeden, w każdym z nich inną metodą jest osiągnięty.

„*The coming race*“ jest dziełem czystej fantazyi, — satyrą szyderską a nieokreśloną. — Wyraziściej występują zarysy i cel, do którego zmierza w „*Chillingly*“ romansie, który czyni wrażenie siłą wyobraźni, jaka go stworzyła. — Humor i pathetyczność *Chillingly*, nie mogłyby się były pogodzić z celem „Paryżan“ dziełem opartem na obserwacji udratyzowanej. — W Paryżanach pragnie wyswiecić działanie nowych idei na całą społeczność. — Nowella ta ma charakter obrazu w panoramie, przepelnionego rozmaitością wielką postaci... wyprowadzonych przed czytelnika. Żadna z nich nie gra przeważającej roli. Wszystkie są z równem staraniem zarysowane i odmalowane, ale pedzłem śmiałym i szerokim, jakiego tło wymagało... Postacie te są cząstkami tylko wielkiej całości.

Łatwo jest z tych przez synowską miłość podyktowanych wyrazów odgadnąć, że Paryżanie nie są właściwie romansem ani kunsztownie osnutą powieścią—ale w formie powieściowej, zbiorem postrzeżeń i uwag nad stanem Francyi, politycznym i społecznym od plebisytu począwszy, aż do ostatniego obłożenia. Nawyknięcie autora do tej formy, w której najpiękniejsze swe wylał utwory, spowodowało że ją przeniósł nad inną, może właściwszą. Obok postaci paryżan, są tu przewybornie pochwycone typy angielskie, na paryżkim spotykane bruku. Jedną z głównych w opowiadaniu rolę gra bardzo szczegółliwie schwycona postać dziennikarza Gustawa Rameau, redaktora gazety „*Sens Commun*“, przewybornie też odmalowany Paryż czasu obłożenia. Książka to, która ze wszech względów wyżej staje od tych dwóch, z którymi ją ideą jedną syn usiłował połączyć.

Mówiąc już o Paryżu i będąc jedną stopą we Francyi czemużbyśmy nie mieli wspomnieć o francuzkiej powieści Pergameni'ego „*Jour d'épreuves*“ niedawno wyszłej w Brukselli. Autor jest już znany z wydanych poezyi i powieści „*La Closière*“ w roku przeszłym drukowanej, która w nim niepospolity talent wskazała. Nowy utwór Pergameni'ego zapoznaje nas z proletaryatem i nędzą wielkiego miasta (Brukselli). Bohaterem jest Charles Dardennes, syn egoisty i człowieka dumnego, a matki ubogiej i nieszczęśliwej. Dziecię wysłano na ulicę dla zebrania trzasek i wiórów na opał, znajduje zgubiony pierścionek, a odnosząc go właścicielowi, poznaje rodzinę van Damme, której naczelnik przyjmuje biedaka do swojego słusarskiego warsztatu. —Tu odnawia on znajomość z Joasią, córką jego, dzieckiem także, z którą dawniej bardzo zajmującą rozmową się zabawiał na Maślanym Rynku.

(Dokończenie nastąpi).

## PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

**Geografia**, kurs I-szy dla dzieci od lat 9—12, wyłożył August Jeske, z drzeworytami w tekście. — Warszawa, nakładem księgarń Stanisława Arcta w Lublinie, 1874 r.

W dalszym ciągu „systematycznego kursu nauk“, to jest podręczników dla dzieci, układu pana Jeskego, ukazała się przed paru miesiącami „Geografia“. P. J. ma tę wielką zasługę, że on prawie pierwszy zechciał i umiał się zastosować do pojęcia umysłu młodocianego; wyłożył w sposób jasny i zrozumiały pierwsze zasady nauki, a nie jest-to rzeczą tak łatwą, jakby się na pozór zdawało. Wiek młodociany, to inny zupełnie świat, świat mający swoją pomieką odrębną psychologię, należy go więc wpróż poznać i zbadać, aby go nauczać. Tymczasem wielu z naszych autorów lub autorek piszących książki dla dzieci, zapomina o tym niezbędnym warunku pedagogicznym. Na nie się nie przydadzą owe przyjacielskie zwroty i zachęty: „moje drogie kochane dzieci, moi mali przyjaciele“ i t. d.; dzieci rzeczy nie dla nich pisanej nie rozumieją, bo je odrazu wpro-

wadzają w labirynt wiedzy, z której sprawy zdać sobie nie mogą. Książki takich pisarzy, pałających jedynie żądzą popisowania się piórem, lub co gorsza pragnących łatwego zysku, nietylko nie przynoszą żadnego pożytku, ale przeciwnie szkodę, gdyż przez to zagradzają drogę innym, do tego niejako powołanym autorom. Pan Jeske, możemy śmiało powiedzieć, iż należy do owych powołanych pracowników na niwie pedagogicznej.

Geografia, jak i inne podręczniki ułożone przez pana Jeskego, osnuta jest na tle nauki poglądowej. „Każde pojęcie geograficzne winno — jak się wyraża autor — płynąć do wyobraźni dziecka drogą właściwą, to jest, drogą doświadczenia i przekonania własnego“, bez tego wyniku wykład geografii elementarnej jest tem, czem „ciało bez duszy“. W przedmowie autor kreśli smutny i niepraktyczny sposób nauczania u nas początków geografii. Zastarzały i przedawniony już system jej nauczania, pozostał do tej chwili zupełnie niezmiennym w swych podstawach — jest ona traktowaną prawdziwie „z macoszyną pieczołowitością“. W ogóle ta piękna nauka nie stoi u nas na wysokim stopniu, przyczyną czego jest z jednej strony brak odpowiednich podręczników, a z drugiej wadliwa metoda wykładu w samych początkach, troszka oderwanych a nie zrozumiałych wiadomości z kosmografii o znaczeniu, celu i podziale geografii, troszka ogólnych pojęć o ustroju społecznym ludzi (o państwach, krajach) a zaraz potem zaczyna się nieskończona litania oceanów, mórz, odnóg, zatok, przylądków, miast, gór, jezior, wulkanów, cyfr przeróżnych i t. d. Nie dziwnego, że taka metoda nie tylko nie naucza, ale co gorsza, odstręcza od tej pięknej nauki, bo obarcza umysł dziecka masami suchych a bezpożytecznych szczegółów i wdraża fałszywe przekonanie, które następnie trudno wybić z głowy, iż geografia jest niczem więcej, jak tylko wyciezeniem krajów, miast, gór i t. p. Dlatego to po dwóch lub trzechletniej nauce, mimo kilku godzin poświęconych tygodniowo na geografję, dziecko nie odniosło z niej żadnej korzyści i nie zna nie tylko Europy i innych części świata, ale co gorsza, nie zna kraju własnego. I nic dziwnego, bo to, co mu za skalę porównania służyć mogło, pominięte zupełnie zostało; wychowanka przeniesiono od razu z zakątka rodzinnego, gdzieś w dalekie strony na Archipelag Indyjski lub w głąb Ameryki południowej. Pan Jeske radzi więc, aby naukę geografii poczynać od kraju własnego, a nawet od okolicy, w której się mieszka. Poczynajmy od rzeczy najprostszyc i najbliższyc, „zbierajmy pyłek do pyłku“, a powoli ułoży się z nich jedna całość, przystępna nawet dla najsłabszych umysłów. Jest-to, jak wiadomo, metoda indukcyjna; mająca tę zaletę, iż stopniowo rozszerza zakres naszej wiedzy i najlepiej rozwija umysł wychowanka. Wręcz przeciwną jest metoda dedukcyjna, poczynająca od pojęć ogólnych, a powoli, jakby po stopniach, do szczegółów zstępująca. Ta metoda ma swe znaczenie, ale dopiero w dalszym ciągu nauki, gdyż wymaga już rozwiniętego umysłu i odpowiedniego przygotowania. Geografia pana Jeskego jest ułożona pierwszą, to jest indukcyjną metodą.

Nim przejdziemy do szczegółowej oceny pracy p. J. należy nam choć w krótkości podać jej treść. Wykład poczyna się od *rozeznania stron świata* (rozdział I), gdzie za punkt wyjścia służy dom własny. W rozdziale II przedmiotem nauki jest sfera otaczająca dom. Następnie uczeń bada okolicę dalszą i rozgląda się *po powiecie* (III). Te wszystkie wycieczki autor radzi tak nauczycielowi, jak i wychowankowi odbywać z ołówkiem w rękę, to jest kreślić choćby nie udatne z początku mapki, naznaczając na nich jednak tylko rzeczy główne. Z powiatu dziecko wchodzi do prowincyi (rozdział IV) — dalej do kraju całego, następnie przestępuje granice swej ziemi i przygląda się krajom sąsiednim. Dopiero poznawszy sąsiednie ziemie, uczeń dowiaduje się (rozdział VII), iż poznana przez niego powierzchnia nie jest płaskoczną, ale cząstką powierzchni kulistej, że ziemia więc ma kształt kuli. Tu dopiero dziecko przechodzi do początków kosmografii, to jest słucha nauki o kształcie ruchu i stosunku kuli ziemskiej do innych ciał niebieskich, jak słońca, księżyca, gwiazd. Tu także dowiaduje się o wodach i lądach i dzieli pierwsze na oceany i morza, drugie na części świata. Ta część geografii jest może najlepiej i najsumiennie opracowana, tu autor okazał w ca-

lej pełni swój pedagogiczny talent; przykłady i sposoby objaśniania zawiłych i trudnych do popularnego udowodnienia twierdzeń kosmograficznych, są bardzo praktyczne i szczęśliwie pomyślane (np. objaśnienie lunacyi, czyli odmian księżycowych na str. 84; zaćmień słonecznych i księżycowych, str. 86). Rozdział ostatni (VIII) zajmuje się ogólnym opisem każdej części świata. Ten ustęp w dziełku pana J. jest najsłabiej opracowanym, albowiem gdy w poprzednich rozdziałach p. J. o tyle o ile trzyma się obranej przez siebie drogi, tu widzimy od tej drogi zboczenia, skąd powstają niekonsekwencje, tembardziej, iż autor zapomina niejednokrotnie, iż jego geografia jest przeznaczona „dla dzieci od lat 9 do 12”. Winniśmy jednak dodać, iż ma ona służyć nie tyle za podręcznik dla uczących się, ile za wskazówkę dla nauczających, którym p. J. pozostawia swobodne pole działalności, a kładzie przedewszystkiem nacisk na samą metodę. Autor rachuje wiele na talent pedagogiczny i znajomość rzeczy nauczających, ale może za wiele i tem poniekąd można usprawiedliwić niedostatków, od których, na nieszczęście, jego praca nie jest wolną. Mianowicie niema wielu ważnych i niezbędnych określeń z geografii fizycznej, które należało podać, a bez których nie można zrozumieć „rozpołożenia” budowy krajów i innych właściwości fizycznych, o jakich nam pisze p. J., przy opisie każdej części świata z osobna. Naprzykład w wielu miejscach geografii wyczytaliśmy, iż „klimat jest łagodny, ostry, zimny, niezdrowy, umiarkowany i t. p.”, ale nigdzie nie mogliśmy się doczytać, co to jest ów klimat?

(Dokończenie nastąpi).

## RUCH MUZYCZNY.

(Dokończenie patrz Nr. 7).

Trudniejszą nierównie od p. Kruzińskiego pracę podjął pan Napoleon Orda, napisawszy *Gramatykę muzyki*. Jak sam tytuł dzieła wskazuje, celem jego jest oznajomienie czytelników z ogólnymi zasadami muzyki, bez pretensyi jednakże gruntownego i systematycznego wykładu. Myśl rzeczywiście bardzo dobra i przy zupełnym prawie u nas braku książek o teorii muzycznej traktujących—praktyczna. Jednakże umyślny brak planu i rozmieszczenie zbyt luźne teoretycznych danych w książce, zamiast ułatwić, utrudnia jej zrozumienie, jak to przykładami okazać się postaramy.

Przedewszystkiem należy zwrócić uwagę na ten szczegół, że *gramatyka* p. Ordy napisana jest, jak na karcie tytułowej wyrażono dla użytku *pianistów* (lepiej byłoby forte-pianistów). Nie będziemy się o to spierać z autorem, dlaczego swoje dzieło przypisał jakoby jednej tylko klasie artystów, skoro i grający na innych instrumentach również korzystają z niego mogą; sądzimy że chciał tym sposobem zrobić przysługę szczególnie tym, którzy władając najdatniejszym do improwizacji i kompozycji instrumentem, nie mogą bez znajomości zasad harmonii puścić wodzy swej twórczej fantazyi. W każdym razie co jest jasne, to żeby mózgiem z pożytkiem czytać powyższą gramatykę, już tyle przynajmniej wiadomości posiadać trzeba, ile ich posiadają fortepianisci, to jest znać dobrze zasady, podział taktu, odległości muzyczne, i mieć pojęcie o okresach muzycznych i ich wykonywaniu.

Nie przeczyamy, że przy takich danych, można wielkie odnieść korzyści ze studyowania gramatyki, ale aby się to mogło obejść bez pomocy specjalnego nauczyciela, wątpimy. Naprzód sam język nie wszędzie jest poprawny, co w naukowym dziele wielką jest wadą, gdyż wszelkie określenia powinny peryodami jak najgładszemi wskazywać się odrazu do pamię-

ci czytelnika i ucznia. Zapewne długoletni pobyt za granicą, lub najprędzej brak wprawy pisarskiej, sprawił u p. Ordy niejasność lub niepoprawność stylu, z jakim często w jego dziele się spotykamy. Nie widzimy potrzeby przytaczania przykładów, na które z łatwością każdy natrafi; na samym już wstępie dedykacja dzieła razi nas niezręczną swą składnią; brzmi ona tak:

„Zacnemu ziomkowi i kompozytorowi naszemu Stanisławowi Moniuszce, w dowód czci i jego zasługom muzycznym, pracę swoją poświęca N. Orda.”

Oprócz tego wielka zachodzi nieproporcjonalność w stosunkowym opracowaniu różnych części dzieła. Przy nader starannie i nawet drobiazgowo opracowanych środkowych rozdziałach, traktujących np. o modulacji, zarówno początkowe rozdziały, jak i końcowe zanadto są skrócone, tak że korzyść z ich przeczytania odniesiona, albo będzie kardzo niekompletna, albo bez pomocy zdolnego kierownika niepodobną. Wstępny rozdział np. traktujący o historii muzyki, tak dalece jest treściwym i skróconym, że zrozumienie jego niemało przedstawia trudności— a ściślej mówiąc, mógłby on zupełnie być opuszczonym. Zapewne że z niemałą korzyścią przeczytać go można, ale jeżeli już ma podobny wstęp służyć jako dokładny obraz rozwoju pojęć o melodii i harmonii, to powinien unikać zbyt licznych szczegółów technicznych, a natomiast bliżej się zastanowić nad pojęciami ogólnymi. Naprzykład zdaniem mojem, nader obojętną jest rzeczą dla czytających wyliczenie nazwiska wszystkich dźwięków, z których się składa skala grecka: natomiast koniecznym było bliższe opisanie skal czyli gamm, z których powstały tonacje kościelne. Zdaje mi się przynajmniej, że uczeń nie obeznany z kładnią z przedmiotem, nie domyśli się sam, czy gamma dorycka była *d, e, f, g, a, h, c, d* lub *Hyp. dorycka a, h, c, d, e, f, g, a*, lub czy też przypadkiem w tych gammach, zamiast *h* nie używano *b*, albo nawet, czy zamiast brać gamę diatoniczną od tonów *D* i *A* nie używano przypadkiem gammy chromatycznej.

Tymczasem możnaby było w kilku wierszach tej niepewności położyć koniec, wspominając wyraźnie o tem, że u Greków trzy systemata muzyczne były w użyciu, mianowicie: *diatoniczny, chromatyczny i enharmoniczny*, i że z tych tylko pierwszy został przyjęty przez SS. Ambrożego i Grzegorza do wprowadzonych przez nich do rytuału katolickiego *tonacji kościelnych*.

Nadto wstęp cały na str. 6, wiersz 13—17 oddołu jest bardzo niejasny, a nawet skala Gwidona d'Arezzo niedokładnie podana, bo przecież za jego czasów sześć tylko nazwisk dla dźwięków używano: *ut, re, mi, fa, sol, la*, zaś siódma nazwa *si* dopiero w kilkaset lat potem wprowadzoną została.

Innym błędem w planie ogólnym dzieła jest przyjęty umyślnie systemat kilkukrotnego powtarzania tych samych określeń. Przy żywym wykładzie może ten sposób być bardzo użyteczny, ale w drukowanej książce jest to okoliczność co najmniej zbyteczna. Zresztą, w skutek niej właśnie cały plan dzieła szwankuje; nie jedna rzecz bowiem zamiast być dokładnie wytłumaczoną odrazu, przedstawiona jest po kilkukrotnie zawsze z nowemi, jaśniej niby objaśniającymi szczegółami. I tak np. określenie gammy, bardzo niedokładne, dane na str. 11, w niczem prawie nie jest poprawione przez określenie drugie, zamieszczone na str. 20; pierwsze bowiem tak brzmi:

„Gamma, jest to zbiór ośmiu tonów po sobie następujących, tak na klawiszach białych jak i na czarnych.” Wprawdzie na str. 20 dodano jeszcze wyrazy: „stosownie do tonu od którego się zaczyna;” ale każdy łatwo zrozumie, że z tych określeń trudno pojąć czy one oznaczają gamę diatoniczną czy chromatyczną, a nadewszystko czy oznaczają pewien przyjęty system w układzie dźwięków, czy też są tylko dowolnie i bez porządku po sobie idącymi tonami. Rzecz o podwajaniu nut w akordach tak po całym dziele jest rozrzucona, że dopiero przy usilnej pra-

cy nauczyć się jej można, kolejnem porównywaniem określeń zamieszczonych na str. 38, 44, 163. Oprócz tego wiele wiadomości zasadniczych, zwykłe zamieszczanych na początku dzieł o harmonii, porozmieszczał autor w dziwnym nieładzie w samym środku książki. Naprzykład długo już bardzo uczeń dobiera harmonie do danych śpiewów i pisze na 4 głosy, zanim się dowiaduje na str. 74, że mu nie wolno robić dwóch kwint po sobie, lub na str. 96 poznaje dokładnie skład akordu doskonałego i septymowego, lub nareszcie aż w drugiej części na str. 161 i 162, uczy się sposobów łączenia akordów tonikalnych z najbliższymi mu duchem akordami, zamieszczonemi na 4 i 5-tym stopniu gammy!

Te i tym podobne szczegóły, które bez potrzeby nie chcemy utrudzać czytelników naszych, świadczą wymownie, że przy najlepszych chęciach i istotnej znajomości przedmiotu, książka pana Ordy napisana jest że tak powiem, po amatorsku, jako luźna pogadanka, a nie jako dzieło systematycznie przedmiot wyczerpujące. Że jednak sposób ten traktowania przedmiotu nie był wcale koniecznym dla popularności dzieła, dowodem są inne dzieła z podobnymże celem pisane w obcych językach, a u nas wybornie i pięknym stylem skreślony *Dowęcznik muzyczny* Sikorskiego. W *Gramatyce*, wydanej niedawno, w 1871 r. przez jednego z profesorów petersburskiego konserwatorium, widzimy przy wielkiej więźności i popularności wykładu ton ściśle naukowej ciągle zachowany, systematyczność wzorową i dokładność w szczegółach tak wielką, że podane są nawet wyborne rysunki wszelkich instrumentów orkiestrowych, co w dziele pana Ordy równieby się przydało. Strona nader pożyteczna i praktyczna gramatyki, leży w rozbieżnych przykładach, które niejako prowadząc na pasku ucznia, oswajają go doskonale z najbardziej używanymi w kompozycji drogami harmonii i modulacji. Nie możemy jednak zaprzeczyć, że niektóre przykłady oryginalnych improwizacji, podane przez autora, grzeszą zupełnym brakiem smaku, i koniecznie powinny być zastąpione (str. 88, 90, 120 i t. d.). Natomiast takich przykładów jak na str. 82 i 83 lub 250 i 251 radzilibyśmy widzieć jak najwięcej. Rzecz o kontrapunkcie i fudze, zbyt krótko jest przedstawiona, aby pożyteczną być mogła; o innych formach muzycznych (Sonata, Rondo, Waryacje) nie znajdujemy wcale wzmianki, wszakże w dziele traktującym pobieżnie o wszystkim, ten ważny rozdział nie powinien być być wypuszczony. Tablica wykazująca skalę rozciągłości instrumentów orkiestrowych, jest nader pożyteczna, i raz jeszcze tylko żałować przychodzi, że sama instrumentacja zbyt pobieżnie jest traktowana.

Jak z tego krótkiego sprawozdania widzimy, *Grammatyka muzyki* daleką się nam wydaje od doskonałości; wszakże kwestyi nie ulega, że korzyść z niej odnieść można, i że przeczytawszy ją z uwagą, można (jak sam autor w przedmowie powiada) wzięść się śmiało do studyowania specjalnych dzieł, traktujących o harmonii.

Jan Kleczyński.

## Sprostowanie.

W Nr. 9 *Bluszczy*, w poezyi *Nauzykaa*, w wierszu 47, w szpalcie trzeciej, powinno być: „gorzki tu smak chleba,” w miejscu „gorzki ten smak chleba.”

Do dzisiejszego numeru „*Bluszczy*” dołącza się dalszy ciąg powieści *Middlemarch* oraz *Kamiennej Woli*.

TREŚĆ: Pogawędka. — Sonet, (poezya), przez El-y. — Zarnica, (dalszy ciąg), powieść bułgarska współczesna, przez Teod. Tom. Jeża. — Przegląd teatralny, (dokończenie), przez Edwarda Lubowskiego. — Listy z zagranicy, przez J. i. Kraszewskiego. — Przegląd piśmienniczy, przez Józefa Wilkowskiego. — Ruch muzyczny, (dokończenie), przez Jana Kleczyńskiego.